

GRUF

1987
LISTOPAD

Nr 11
ROK VI



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA“

Prezentujemy wiersze Tomasza Lipskiego

Urodził się w Słupsku w 1966 roku. Po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego podjął pracę jako sanitariusz w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym. Jeszcze wszystko przed nim!

GRYF

**WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY**

SŁUPSK + LISTOPAD + 1987 R.

W NUMERZE:

DYSKUSJĘ O PRZYSZŁOŚCI KULTURY
PROWADZI **WALDEMAR PAKULSKI** •
PRZYKŁAD NIEJAŁOWEGO „RADZENIA”
PRZEDSTAWIA **URSZULA MACZKA** •
LITERACKIE OBRAZY RELACJI
MIĘDZY MIŁOŚCIĄ I ŚMIERCIĄ
WYBRAŁ **ZBIGNIEW PAKUŁA** •
REFLEKSJE **ELŻBIETY ŻOLIŃIAK** PO
WIZYTCIE W ŁODZI •
RYSZARD JAŚNIEWICZ ZAPRASZA
DO TEATRU •
FRAGMENT NOWEJ POWIEŚCI
PREZENTUJE **ANATOL ULMAN** •
OZAS WOJNY WSPOMINA
WŁADYSŁAW ŚWIĘCH •
MARIAN ŚLIWIŃSKI PISZE O CZŁOWIEKU —
RYBIE •
POLITYCZNE ASPEKTY
PRZYROSTU NATURALNEGO
ANALIZUJE **ROMAN MĘCLEWSKI** •
O BALONACH BOJOWYCH
OPOWIADA **RYSZARD HRYNIEWICZ** •
PODRÓŻ DO AUSTRALII
„DARU POMORZA” ŚLEDZI
WOJCIECH WACHNIEWSKI •
PRZED ROZWODEM
PRZESTRZEGA **BOŻENA JAKIMOWICZ** •
O WIECZORZE BLISKOSCI
SERC PISZE **JAROSŁAW BUKSZOWANY** •
PONADTO: KRONIKA,
REPERTUARY, DUET KRZYŻÓWKOWY

placówkach kultury wiele
miesiącach. Pytania o formy
kresie zapowiadanych zmian
tym jakie wartości wezmą
liczyły: upór, talent i po-
nować, a co chronić?

prza?

Wydawało się, że podczas pracy w masłowskiej
i tak jest obecnie w Kramarzynach.
Praca wymaga swoistego poświęce-
musimy starać się wyzwać w lu-
inicjatywę, chwalić i uczyć, a sami
ować ludzkie potrzeby i tak plano-
racę, by była akceptowana w śro-
tu. Zdobyte doświadczenia a nawet
y dowodzą słuszności i trafności wy-
metody, a owocują udanymi impre-
Do takich należały ostatnie dożynki.
spólnej zabawie uczestniczyła cała

Elżbieta Żolińska. To prawda, w Kramarzynach
dano społeczeństwu możliwość
jej samorealizacji w kulturalnym
niu, a to bardzo istotne.

Ryszard Zajac. Praca w obecnych wa-
ch nie jest lekka. Ogromna waga
zji i nowoczesnych technik a także
ść przemieszczania się ludzi, na nas
zatorów i administratorów kultury
da nowe zadania. Z jednej strony jest
owiązek oferty rzetelnej pod wzglę-
merytorycznym, z drugiej zaś po-
jący na samorealizację w środowi-
A więc swoisty regionalizm. Staramy
co dzień godzić te dwie tendencje.
wka kulturalna to nie worek, w któ-
poukładane są obok siebie i z suk-
i współistnieją wszystkie formy ar-
znych wypowiedzi. Mamy przecież
województwie przykłady swoistych spe-
acji: Sławno — film, Czarna Dąbrów-
teatr młodzieżowy, Bytów — zna-
y zespół i jarmark. Z drugiej stro-

PO RAZ PIERWS

Prezentuje Tomasz

Urodził się w Słupsku w 1966
cącego podjął pracę jako sam
nym. Jeszcze wszystko przed

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w Słupsku.

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofska 1, tel. 283-13, 236-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Urszula Maczka, Krystyna Daniłowska.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 266-08), Zbigniew Pakula — sekretarz, Małgorzata Józwiak — oprac. techniczne.

Okladka — fot. Jan Maziejuk

WARUNKI PRENUMERATY:
cena prenumeraty: kwart. 75,— półr. 150,—
rocznie 300,—

1. Dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:
 - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w mieście wojewódzkim i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach,
 - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
2. Dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:
 - osoby zamieszkane na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,
 - osoby zamieszkane w miastach — siedzibach Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora.

Terminy przyjmowania prenumeraty:

- do dnia 10 listopada na I kwartał, I półroczcie roku następnego oraz cały rok następny,
 - do dnia 1. każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
- DRUK:** Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 700 egz. Format B-5. Zam. 1516. Druk barwnej okładki: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy „Intropol” w Koszalinie. M-8.

Cena 25 zł

U progu nowego sezonu kulturalnego, w placówkach kultury wiele mówi się o kształcie pracy w najbliższych miesiącach. Pytania o formy pracy i losy dotychczasowych inicjatyw w okresie zapowiadanych zmian nurtują wszystkich. Wiele dyskutuje się o tym jakie wartości wezmą górę w nadchodzących latach, czy będą się liczyły: upór, talent i pomysłowość, a może tupet? Co należy eliminować, a co chronić?

Czy stworzymy nową kulturę starego Pomorza?

Do rozważań na ten temat zaprosiliśmy pracowników placówek kulturalnych: **Małgorzatę Starzyńską** — instruktora Wiejskiego Domu Kultury w Kramarzynach, **Wojtkę Szroedera** — instruktora Gminnego Ośrodka Kultury w Czarnej Dąbrówce, **Romana Szymańskiego** — dyr. Bytowskiego Domu Kultury oraz przedstawicieli Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku — dyrektora **Zbigniewa Talewskiego**, **Elżbietę Żołyniak** — kierownika Działu Organizacji Pracy Domów i Klubów Kultury i **Ryszarda Zajęca** — odpowiadającego za amatorski ruch artystyczny.

Elżbieta Żołyniak. Zaczniemy od sprawy podstawowej. Jesienią zawsze zaczyna dęczyć nas pytanie czy placówki będą w stanie prowadzić działalność w zimie. Brak opalu uniemożliwia prowadzenie zajęć.

Ryszard Zajęc. Nie warunkujmy wszystkiego opalem i stanem bazy — te problemy i ich rozwiązanie przekraczają granicę naszych możliwości. U progu nowego sezonu postawmy tezę, że bez kultury żyć nie można, a więc my — jako jej organizatorzy i animatorzy powinniśmy się troszczyć o atrakcyjność oferty kulturalnej, wspomagać ludzi niespokojnych, twórczych oraz śledzić ludzkie, kulturalne potrzeby.

Małgorzata Starzyńska. W środowisku wiejskim pracujemy wraz z mężem już 28 lat. W tym czasie zasadą naszego działania była ciągle mobilizacja społeczeństwa do świadczeń i uczestnictwa w życiu wsi.

Tak było podczas pracy w masłowskiej szkole i tak jest obecnie w Kramarzynach. Nasza praca wymaga swoistego poświęcenia. Musimy starać się wyzwać w ludziach inicjatywę, chwalić i uczyć, a sami analizować ludzkie potrzeby i tak planować pracę, by była akceptowana w środowisku. Zdobyte doświadczenia a nawet sukcesy dowodzą słuszności i trafności wyboru metody, a owocują udanymi imprezami. Do takich należały ostatnie dożynki. We wspólnej zabawie uczestniczyła cała wieś.

Elżbieta Żołyniak. To prawda, w Kramarzynach dano społeczeństwu możliwość swoistej samorealizacji w kulturalnym działaniu, a to bardzo istotne.

Ryszard Zajęc. Praca w obecnych warunkach nie jest lekka. Ogromna waga telewizji i nowoczesnych technik a także łatwość przemieszczania się ludzi, na nas organizatorów i administratorów kultury nakłada nowe zadania. Z jednej strony jest to obowiązek oferty rzetelnej pod względem merytorycznym, z drugiej zaś pozwalający na samorealizację w środowisku. A więc swoisty regionalizm. Staramy się na co dzień godzić te dwie tendencje. Placówka kulturalna to nie worek, w którym poukładane są obok siebie i z sukcesami współistnieją wszystkie formy artystycznych wypowiedzi. Mamy przecież w województwie przykłady swoistych specjalizacji: Sławno — film, Czarna Dąbrówka — teatr młodzieżowy, Bytów — znakomity zespół i jarmark. Z drugiej stro-

ny, w miarę możliwości wprowadzamy nowe techniki. To przyciąga ludzi, a nowa forma pracy czyni ofertę atrakcyjniejszą.

Waldemar Pakulski. Czy wobec popularności mass mediów i nowych technik ugniatających świadomość współczesnego człowieka nie traci on kontaktu ze sztuką w dawnym rozumieniu, z żywym aktorem, obrazem?

Ryszard Zajac. Współczesne środki audiowizualne nie są w stanie tak daleko przekształcić człowieka, by zrezygnował ze sztuki żywej. Nasze działania idą w tym kierunku, by nowoczesne techniki były pomocnikiem, a nie efektem końcowym.

Waldemar Pakulski. Ostatnio obserwujemy, że placówki profesjonalne: teatr zawodowy, orkiestra, muzeum niezbyt chętnie uczestniczą i patronują przedsięwzięciom amatorskim. Jeżeli np. dzieje się coś interesującego w muzyce to profesjonalna orkiestra tego nie zauważa, taki sam problem dotyczy teatru. Powstaje więc, być może naiwne pytanie, czy placówki te nie powinny bardziej interesować się, a nawet patronować społecznym inicjatywom kulturalnym?

Elżbieta Żołyniak. Trudno nam to zawiśko oceniać bez udziału drugiej ze stron. Możemy jedynie mówić o odczuciach i dotychczasowych doświadczeniach, a te nie dowodzą głębokiej izolacji. Współpracą z Muzeum Pomorza Środkowego, Muzeum w Łęborku, Słupskim Teatrem Dramatycznym układa się dobrze i mamy cały szereg wspólnych udanych przedsięwzięć.

Ryszard Zajac. My — jako Wojewódzki Dom Kultury jesteśmy bardziej otwarci na to, co dzieje się w terenie. Zespoły amatorskie z racji swego statusu i doboru repertuaru są bardziej agresywne w działaniu niż placówki profesjonalne. Nasze atuty to sukcesy „Ronda”, „Stobu”, bogata oferta kulturalna na Dni Słupska w Łodzi. Z profesjonalistami pracujemy chętnie. Trudno jednak tu mówić o jakichś regułach. Temat jednak wart jest zastanowienia.

Roman Szymański. Chciałbym jeszcze raz wrócić do kwestii bazy i opału. Bytowski Dom Kultury do niedawna dysponował przydziałem 100 ton koksu, od dwóch lat otrzymuję 37 ton, a do chwili obecnej mój zapas na zimę wynosi 11 ton. Trzeba zadać sobie wreszcie pytanie: kto zechce pracować w placówce wyzębionej? Gdzie pójdzie młodzież? Takie oszczędności sprzyjają powstawaniu patologii społecznych.

Ale mówmy o najbliższych planach. Ziemia Bytowska jest na Pomorzu Środ-

kowym środowiskiem specyficznym. Wielu ludzi z tych stron wyjechało, wielu wraca do starego kraju. Przez region bytowski rocznie przejeżdżają tysiące turystów, więcej niż w innych regionach północnej Polski. Moim marzeniem jest otwarcie tytułu inwestycyjnego na budowę nowego ośrodka kultury. Inicjatywę poparli miejscowe władze, a ja poszukuję obecnie lokalizacji i wykonawców. Zdaniem bytowskich działaczy kultury winna to być placówka wielofunkcyjna, spełniająca zadania Domu Polonii Kaszubskiej. Jest to oczywiście nazwa umowna, bo okręg bytowski jest przykładem znakomitego partnerstwa różnych grup etnicznych. Na równi szanujemy i pomagamy aktywistom Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego jak i członkom Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Nowoczesna placówka kulturalna winna działać na zupełnie innych, niż dotychczas zasadach gospodarczych. Wychodzę z założenia, że kultura powinna się sama finansować, a nawet być dochodowa. W placówkach kultury powinny działać salony gry, kregielnie. W chwili obecnej zezwolenia na tego typu rozrywkę uzyskują jedynie osoby prywatne. Przepisy finansowe, obowiązujące obecnie, wykluczają formy takiej działalności zarobkowej.

Dyrektorzy placówek winni mieć swobodę dysponowania funduszami. Posłużę się tu przykładem z własnego podwórka. W Zespole Pieśni i Tańca zatrudnionych jest wielu pracowników bytowskich zakładów pracy. W razie koncertów i dłuższych wyjazdów dyrektorzy zakładów zwalniają pracowników, ale wyłącznie na zasadzie urlopowania bezpłatnego. Chcąc zespół utrzymać trzeba rekompensować straty. Czyniąc tak, w warunkach obecnych, poruszam się na granicy przestępstwa. Mam nadzieję, iż II etap reformy, zakładający pewne ulgi w krepujących przepisach wprowadzi pewne zmiany w zasadach finansowania w kulturze.

Społeczeństwo, któremu zaoferujemy wysokiej jakości usługi kulturalne chętnie za nie zapłaci. Warunek — muszą to być propozycje ambitne. Dyskusja o warunkach jakie muszą być spełnione do zarabiania na kulturze to odrębny temat, ale wart głębszych przemyśleń.

Zbigniew Talewski. Poruszono tu kilka istotnych problemów. Pierwsze to wzajemne relacje profesjonalistów i amatorów. Instytucje kultury są bardzo stateczne i w dobrze pojętej wierze obrony perfekcjonizmu żyją jakby własnym życiem i nie są w stanie nadążyć za poczynaniami amatorów. W trosce o wysoki poziom unikają ich, a przecież właśnie wśród tej grupy powinno się szukać przysłówiowych

talentów. Sztuka profesjonalna powinna stymulować działania amatorów.

Kwestią kolejną jest świadomość tworzenia się na naszych ziemiach nowego typu kultury pomorskiej. Rodowody mieszkańców województwa są różne. Zastanięta kultura została przemieszana z obcymi dla niej trendami. Wszystkie wniesione elementy zakorzeniły się, a nowa pomorska kultura jest swego rodzaju fenomenem w skali krajowej. Ludzie utożsamiają się z ziemią, na której osiedlili się jej ojcowie i wspólnie chcą tworzyć nową kulturę współczesnego Pomorza. Tym tendencjom należy wychodzić naprzeciw.

I wreszcie kwestia trzecia — materialnej egzystencji kultury. Nie uciekniemy od problemów bazy, opału i remontów. W myśl podjętych decyzji na szczeblu centralnym wszystkich chcemy zobligować do świadczeń na rzecz kultury. Nie wolno dzielić kultury na gminną, szkolną, strażacką itp...

W myśl tak zwanego „Porozumienia 16” powołaliśmy Gminne Rady Upowszechniania Kultury i te jako jedyny gestor winny decydować o sprawach, dla kultury w danym środowisku najważniejszych. Odnotowaliśmy już przykłady, że Rady te założyły własne konta w Bankach Spółdzielczych, opracowały programy i decydują o podziale funduszy. Jest to trend prawidłowy i budzi nadzieję na uporządkowanie wielu dotychczasowych niedostatków. Stąd też prośba do dyrektorów gminnych ośrodków kultury, by do tych właśnie organów kierowali śmiało swe uwagi o bieżących potrzebach.

A teraz trochę o planach na przyszłość i nowych kierunkach w myśleniu o kulturze. Podczas ostatnich posiedzeń Zespołu Towarzystw Regionalnych Narodowej Rady Kultury w Bydgoszczy, Chojnicach i Tucholi, jej przewodniczący — prof. Boeđan Suchodołski wielokrotnie stawiał pytanie o to, jak kultura otwiera się na wyzwania XXI wieku, na ile jest w stanie włączyć się w nurt nowej myśli technicznej i na ile ostrzegać przed cywilizacyjnymi zagrożeniami? Przecież ludzie młodzi, w przyszłości twórcy kultury, nie będą bez końca zakładać zespołów regionalnych i izb pamięci. To pytanie o nowe propozycje kieruję za pośrednictwem miesięcznika do szerokiego gremium czytelników.

Ryszard Zajac. W działaniu obowiązuje nas konkretny kalendarz imprez. W 1988 roku planujemy organizację kilku imprez o zasięgu międzynarodowym. Wznowlony

zostanie Plener Fotografików Krajów Nadbałtyckich. Tematem obecnego będzie „Zagrożenie wód Bałtyku” — a więc temat wyzwania czasem przyszłym. W założeniach programowych pleneru wyeliminowaliśmy sformułowanie „amatorów”. Będzie to impreza otwarta dla tych, którzy prezentują dobry poziom artystyczny.

Drugą imprezą międzynarodową będą Warsztaty Widowsk Plenerowych z udziałem gości z całej Europy, współorganizowane z Federacją Światowego Teatru Amatorskiego „Aita”. Będzie również „Totus Mundus” i Forum Teatru Niesforenego. Realizować będziemy wszystkie ogólnopolskie i wojewódzkie konkursy i przeglądy muzyczne, taneczne, recytatorskie i teatralne. Naszą uwagę koncentrować będziemy na podniesieniu poziomu artystycznych prezentacji. Stąd też szeroki program szkoleń specjalistycznych jak również duża ranga i rola Klubów Instruktorskich. Mają one integrować instruktorów, być formą wymiany doświadczeń warsztatowych. Niedawno także zrodził się pomysł stworzenia zespołu „Ziemia Słupska”. W chwili obecnej trwają dyskusje nad kształtem artystycznym zespołu i środkami na jego powstanie.

Wojciech Szroeder. Zapomniałem powiedzieć o interdyscyplinarnych warsztatach teatralnych w Czarnej Dąbrówce. W czasie całorocznej pracy młodzieżowego zespołu teatralnego chcemy pracować nad wykształceniem przyszłej kadry instruktorskiej. Planujemy powiązanie działań teatralnych z plastycznymi, te wymagają jednak fachowca plastyka. Człowiek jest, ale pojawia się problem mieszkania.

Zbigniew Talewski. W planowaniu pracy Wojewódzkiego Domu Kultury pozostaje jeszcze kwestia jasnego określenia roli tej placówki w kształtowaniu życia kulturalnego regionu i wpływu na działalność ośrodków terenowych.

WDK z racji swego statusu jest placówką szkoleniową, metodyczną, doskonalącą kadry. Partnerów do propagowania różnych form artystycznego działania szukamy w organizacjach młodzieżowych, szkolnictwie, Stowarzyszeniu Twórców Ludowych, Scenie Ludowej, towarzystwach regionalnych. A może jeszcze słów kilka o planowanym zespole „Ziemia Słupska”. W mieście, w którym działa uczelnia kształcąca nauczycieli i to nauczycieli wychowania muzycznego powstanie zespół jest wręcz konieczne.

Elżbieta Żołyniak. W nowych warunkach szczególnego znaczenia nabiera systematyczność w pracy placówki kulturalnej.

Musimy chronić samych siebie i członków wszystkich zespołów przed błędem pracy wyłącznie na pokaz i od okazji, do okazji. Domy i ośrodki kultury nie mogą być jedynymi organizatorami akademii na wszystkie lokalne okazje. To zostało po raz pierwszy wyraźnie sprecyzowane w Programie Ministerstwa Kultury i Sztuki na sezon artystyczny 1988. Prezentacja osiągnięć nie może być jedynym i wyłącznym celem pracy zespołów.

Instruktorów i bywalców domów kultury zachęcamy do współtworzenia propozycji kulturalnych. Służyć ma temu idea giełd programowych.

Waldemar Pakulski. W trakcie naszej dyskusji staraliśmy się jedynie zasygnalizować pewne ważne sprawy. Nasza rozmowa mogłaby się jeszcze wzbogacić o szereg niedopowiedzianych problemów. O tych chcemy usłyszeć również od naszych Szanownych Czytelników. Mam nadzieję, że niniejsza rozmowa sprowokuje do szerszych wypowiedzi.

Dyskusję prowadził:

WALDEMAR PAKULSKI

opracowanie: WANDA LENC

Pod patronatem naszej Redakcji Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Słupsku (główny organizator), wspólnie z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Słupskim Klubem Młodych Pisarzy, ogłosił

II OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI

„W poszukiwaniu talentów”

Konkurs przeznaczony jest wyłącznie dla uczniów szkół podstawowych, zawodowych i średnich. Organizatorzy oczekują utworów o tematyce współczesnej, ze szczególnym uwzględnieniem problemów dotyczących młodego pokolenia.

Każdy autor ma prawo nadesłać dowolną ilość prac (wiersze, poematy) opowiadania, eseje itp.), w trzech egzemplarzach maszynopisu lub czytelnego rękopisu. Mile widziane będą utwory marynistyczne. Prace powinny być opatrzone imieniem i nazwiskiem autora oraz dokładnym adresem zamieszkania, nazwą i adresem szkoły itp.

Utwory należy nadsyłać do 20 października 1987 roku pod adresem: Zarząd Wojewódzki ZSMP, al. Sienkiewicza 21, 76-200 Słupsk z dopiskiem „W POSZUKIWANIU TALENTÓW”.

Organizatorzy przeznaczili na nagrody i wyróżnienia 30 tys. zł. O miejscu uroczystego podsumowania konkursu laureaci zostaną poinformowani i zaproszeni na koszt organizatorów. (stemi)

„Pokaż, mędrze, a nie radź” — doradzał kiedyś profesor Tadeusz Kotarbiński, twórca tzw. etyki niezależnej, uczony i wychowawca kilku pokoleń Polaków.

O kulturę w codziennym życiu

URSZULA MACZKA

Piękny przykład wspomagającego, „społęgliwego opiekuna” dały inicjatywy Komisji Kultury Rady Krajowej PRON oraz Zespołu Kultury Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, podjęte na wspólnym posiedzeniu na temat roli małych miast jako lokalnych centrów kultury. Do propozycji racjonalnych rozwiązań i budowy optymalnego modelu kultury nawiązały Prezydium Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego w Słupsku i Miejskiego Komitetu SD w Bytowie, organizując 8 października 1987 roku w Klubie Bytowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wspólne plenarne posiedzenie na temat „Znaczenie regionalnego ruchu kulturalnego w dorobku kulturalnym województwa na przykładzie środowiska bytowskiego”.

Ta cenna inicjatywa jest dobrym przykładem niejałowego „radzenia”. To właśnie organizatorzy przekroczyli zaklęty Rubikon relatywizmu, a tym samym wyszli poza opłotki zwykłego, podstawowego kwantum tzw. „praxis” w terenie, próbując zweryfikować zwietrzałe struktury dawnych przyzwyczajęń i nawyków.

W plenarnym posiedzeniu, któremu przewodniczył mgr Jerzy Mazurkiewicz — przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu SD w Słupsku, uczestniczyło liczne grono działaczy oraz gości różnych środowisk zawodowych i społecznych. Referat wygłosił dr Zbigniew Bukowski — przewodniczący Miejskiego Komitetu SD w Bytowie.

Dzięki uprzejmości organizatorów miałam okazję uczestniczyć w plenarnym posiedzeniu.

Najbardziej uderzył mnie fakt doskonałej orientacji, z uwzględnieniem skorelowanego uczestnictwa wszystkich animatorów kultury i jej sojuszników, szczególnie instytucji i zresztą do tego najbardziej predysponowanych, wyznaczających rytm życia kulturalnego w terenie. Ten charakterystyczny przykład trzeba ocenić wysoko,

bo tym samym zostało również wyzwolone poczucie jednostkowej i społecznej odpowiedzialności za rozwój kultury regionalnej. Natomiast same obrady uzyskały wyjątkową rangę, szeroki zakres, pasjonujące wątki, skupiające uwagę uczestników.

Jednocześnie godzi się nadmienić, że Stronnictwo Demokratyczne od początków swej półwiekowej działalności przywiązywało zasadniczą wagę do spraw kultury narodowej, do jej doskonalących funkcji w państwie i kształcącej roli w społeczeństwie, do jej rozwoju i powszechnej dostępności. Równolegle SD zwracało pełną uwagę na problematykę małych miast i ich miejsca w kraju, starając się wszędzie pozyskiwać sojuszników dla swych koncepcji rozwojowych. Te fakty należą do budujących.

Bardzo ceniłam sobie, że organizatorzy plenarnego posiedzenia w Bytowie — aby wytworzyć żywsze niż dotąd zainteresowanie kulturą i jej przemianami społecznymi — zastosowali samo działanie! Plenarne posiedzenie było prawdziwym festynem kultury. Organizatorzy uwzględniły liczne czynniki wspomagające: między innymi stworzono uczestnikom i młodzieży szkolnej możliwości zetknięcia z dorobkiem regionu oraz ludźmi zaangażowanymi w sprawy kultury.

Wśród prezentowanych przedsięwzięć na uwagę zasługują: wystawa prac artystycznych rzeźbiarza Cz. Marczaka i plastyka W. Pomorskiego z Bytowa, stoisko „Pomeranii” z Gdańska z literaturą kaszubską oraz występy regionalnych zespołów kaszubskich z Bytowa i Jasienia.

Ważną cechą imprezy bytowskiej był również autentyczny patriotyzm i głębokie umiłowanie starych polskich tradycji, co wyraziło się w przemówieniu Władysława Knosalla z rodziny Styp-Rekowskich, znanej działaczki polonijnej, zaproszonej na tę uroczystość. Zatrzymanie się na problematyce kaszubskich tradycji kultural-

nych i patriotycznych na ziemi bytowskiej to kwestia wyjątkowo ważna, bo nie stanowi one zamkniętego procesu i zachodzi pilna potrzeba ich utrwalania w pamięci młodego pokolenia.

Organizatorzy odnosząc się z całym szacunkiem do kaszubskich tradycji patriotycznych na ziemi bytowskiej, zwrócili także uwagę na to, o czym zapomnieli działacze licznych na naszym terenie organizacji i zrzeszeń, a mianowicie: na plenarnym posiedzeniu SD uszanowano 350. rocznicę powrotu ziemi lęborsko-bytowskiej do Polski (przyp. wrześniowe wydanie Gryfa). Ta życzliwa uwaga jest niewątpliwie wyrazem troskliwej pamięci dla rodzimej ludności na ziemi lęborsko-bytowskiej, która przez wieki była Polsce wierna i dla której to trwanie znajduje swój oddźwięk również dziś.

Powyższe fakty świadczą niewątpliwie o czynnym uczestnictwie Stronnictwa Demokratycznego w kulturze regionalnej. Taka inicjatywa wdraża działaczy i młodzież do aktywnego działania, przyczynia się do swoistego odczucia głodu kultury oraz umiejętnego wartościowania naszej kultury w odbiorze. Równocześnie umożliwia ona pełniejsze zaspokojenie potrzeb poznawczych, intelektualnych i estetycznych. Sądzę, że te doniosłe funkcje zaakcentowane zostały dobitnie.

Bywało, że działalność kulturalną traktowano u nas jako jedną z form kanalizowania najczęściej spontanicznie rodzącej się inicjatywy, zmierzającej do zagospodarowania wolnego czasu, zaspokojenie potrzeb rozrywki i odpoczynku. Przykłady z Bytowa różnią się odmiennym systemem wartości i są znacznie głębsze. Główne cechy tutejszej kultury regionalnej: to rzeszka ludowość, wysoki stopień szacunku dla rodzimych tradycji i szczerz polski patriotyzm, inspirujący i wyzwalaający kreatywne, twórcze siły.

Godzi się popierać takie ambicje „wyższego rzędu”, a więc aspiracje współtworzenia czegoś ponad to, co jest naszym chlebem powszednim. Taki model — wymagający dbałości i stałego rozwijania — będzie mógł przybrać realne kształty, jeśli powszechność kultury stanie się potrzebą wszystkich ludzi, którym sprawy te leżą na sercu. Nie ma podstaw do obaw, iż takich właśnie ludzi jest u nas za mało!

O tym świadczyła również dyskusja na plenarnym posiedzeniu w Bytowie, która przyniosła interesujące konfrontacje różnych spojrzeń. W wyniku wymiany myśli nastąpiło zbliżenie poglądów, przy czym ich cechą charakterystyczną było poszukiwanie racjonalnych i optymalnych rozwiązań w terenie.

Dyskusja ta również — co jest ogromnie ważne — pomogła w przezwyciężaniu mitu o powszechnej niewydolności i nieudolności naszej kultury regionalnej — mitu szkolnego i krzywdzącego. Obok niewątpliwie złych przykładów mamy bowiem znacznie więcej dobrych, a nawet bardzo dobrych. Wielu działaczy, mimo trudnych warunków, stara się należycie kształtować obraz naszej kultury regionalnej, często kosztem wielu wyrzeczeń osobistych. Ludzie trwają na posterunku mimo zachęcających ofert z większych ośrodków miejskich. Dodam, że inwencji jest u nas sporo i tam, gdzie zaangażowani ludzie stwarzają możliwości działania, tam inicjatywa wyzwała się i służy sprawie postępu społecznego i kulturowo-cywilizacyjnego naszego społeczeństwa. Świadomość aktywnego działania jest wśród tutejszych działaczy bardzo wyraźna.

Alę również tzw. „obrachunki” znalazły w dyskusji wszechstronne, wartościujące omówienie. Mówcy podkreślali, że współczesne realia pozostawiają wiele do życzenia i prowokują często do gorzkich refleksji. Jeśli idzie o obecny stan, to nie jest on u nas optymistyczny ani w zakresie bazy lokalowej, ani w zakresie działania. Teren musi mieć możliwość bardziej samodzielnego i elastycznego działania, co pozwoliłoby na lepsze zsynchronizowanie potrzeb i możliwości. Właściwie wszystko rozbija się głównie o brak funduszy — najbardziej uciążliwym jest to w zakresie ochrony zabytków. Za mało też jest współpracy pomiędzy terenem a sojusznikami, którzy powinni pełnić również rolę sponzorów. Trzeba wydać walkę prymitywizmowi bazy i zaplecza, bardziej rozwijać uzdolnienia i talenty w terenie. Te wszystkie mankamenty należałoby usunąć. Wnioski i propozycje natury ogólnej — być może „podsyte patriotyzmem lokalnym” — starano się jednak dobierać pod kątem ponadregionalnej przydatności, opierając się na rzeczywistości, która nas na co dzień otacza. Również wizję możliwości dalszego awansu kulturalnego naszego regionu próbowano przyoblekać w rzeczywiste kształty.

W podjętej wspólnej uchwale określono zadania, jakie należy podjąć, aby z treściami plenarnego posiedzenia dotrzeć do najszerzych kręgów społeczeństwa. Treści te dotyczą bowiem każdego obywatela. Bez przerwy trzeba wybierać wartości wiódące, najważniejsze, przyswajając je jako element składowy naszej kultury narodowej, która kształtuje również poczucie jednostkowej i społecznej odpowiedzialności za jej dalszy rozwój.

Z KRĘGU EROSA...

„ŻADNYCH WIĘCEJ PRZESZKÓD MIŁOSNEJ ŻARŁOČNOŚCI. POŻERAJĄ SIĘ SOBĄ NAWZAJEM I NIE ZNAJĄ JUŻ INNEGO POKARMU.”

(Novalis)

Tanatos

ZBIGNIEW PAKUŁA

W „Odpowiedzialności i stylu” R. Caillois przytacza pouczającą baśń eskimoską: „Pewien stary kawaler nie używał swego kajaka i ten cały pozieleniał. Dalej w fiordzie mieszkał człowiek, który miał bardzo piękną córkę. Któregoś ranka, kiedy pozostali mieszkańcy igloo spali jeszcze, stary kawaler (...) udał się do domostwa człowieka, który miał bardzo piękną córkę. Gdy się zbliżał, ludzie powiedzieli do niego: „Wysiądź tu!” A potem rzekli mu: „Wejź!” Dziewczyna siedziała w kacie igloo. Widząc ją tak piękną, poczuł wielkie ciepło i osłabił z miłości. Gdy Nukarpiartekak zdjął i powiesił swój anorak, zobaczył, że piękna dziewczyna uśmiecha się do niego i wtedy omdlał. Gdy odzyskał zmysły i spojrzał znów (...) znowu omdlał. (...) Gdy inni pokładali się spać, Nukarpiartekak zobaczył, że dziewczyna przygotowuje posiłek dla niego i dla siebie i widząc to omdlał (...) Położyli się obok siebie, a dziewczyna była tak piękna, iż myślał, że umrze. Nukarpiartekak pocałował ją i omdlał. Najpierw jakby zanurzył się w niej do kolan, później do rąk, później do pach. Zanurzyło się prawe ramię. Później zanurzył się do brody. Wreszcie krzyknął i zniknął w dziewczynie cały. Inni obudzili się i pytali, co się stało, ale nikt nie odpowiedział. Kiedy rano zapalono kaganki, Nukarpiartekak nie było, a jego kajak stał przy brzegu. Piękna dziewczyna wyszła z igloo, by oddać wodę (mocz), i kiedy to czyniła, wyszedł z niej szkielet Nukarpiartekaka”.



grafika Wacława Pomorskiego

W interpretacji tej baśni wskazuje się najczęściej na związek funkcji seksualnych i funkcji żywienia się. Havelock Ellis wprost pokazuje analogie między czynnością ssania i aktem płciowym: „Nabrzmiąla pokarmem pierś odpowiada członkowi męskiemu w stanie erekcji, chciwe i wilgotne usta dziecka odpowiadają pochwie drgającej i wilgotnej, mleko życiodajne i zawierające białko przedstawia płyn nasienny również życiodajny i zawierający białko. Wzajemne całkowite zaspokojenie fizyczne i psychiczne matki i dziecka wynika z przeniesienia z jednego na drugie cennego płynu organicznego, stanowi prawdziwą analogię fizjologiczną ze stosunkiem między mężczyzną a kobietą w kulminacyjnym punkcie aktu płciowego”.

Cytaty te niech posłużą nam do przypomnienia istnienia nierozzerwalnego związku, którym jest współistnienie Erosa i Tanatosa, miłości i śmierci. Ma związek ten swe podstawy w świecie przyrody, to przecież instynkt rozkoszy każe modliszce pożerać swego kochanka w trakcie aktu miłosnego. Badacze wskazują, że dzięki pożeraniu partnera, czyli jego stopniowemu niszczeniu dochodzi do amputacji ośrodków hamowania w mózgu, co z kolei pozwala na dłuższe wykonywanie ruchów kopulacyjnych. Łączy się tu więc rozkosz seksualna ze śmiercią, a sama modliszka stała się symbolem związku miłosnego, który prowadzi nie tylko do zni-

szczenia samego uczucia, ale i unicestwienia także ciała. Oczywiście, modliszka to nie jedyny przykład tego zjawiska. W świecie chociażby owadów samce motyli giną natychmiast po dokonaniu zapłodnienia. Nas jednak interesuje tu bardziej to, że ślady tego okrutnego porządku natury odnaleźć można także w człowieku, w związkach między mężczyzną i kobietą. Kultura starannie przechowuje motyw modliszki, lecz nie zawsze ujawnia się on w tak dramatycznym przebiegu, jak chociażby w powieści „La nouvelle Justine” markiza de Sade. Jej bohaterka — lady Clairwil — ogarnięta jest bowiem obsesją — pragnieniem zabicia tych wszystkich mężczyzn, których była i jest kochanką. Posuwa się nawet do kanibalizmu, jest bowiem w powieści scena, w której lady Clairwil „wprowadza sobie do pochwy serce wyrwane z piersi młodzieńca i leżąc na trupie swej ofiary ssie jej usta masturbując się jednocześnie gorącym jeszcze sercem”.

Związek między miłością a śmiercią, bo on nas tu interesuje najbardziej i nie tylko w aspekcie modliszki kochanki-morderczyny, w ciekawy sposób powielany jest w literaturze popularnej zaspokajając prawdopodobnie w ten sposób potrzeby i oczekiwania odbiorców. Ma ten związek w tzw. „romansidlach” charakter stereotypowy. W „arcydziele” tej odmiany powieściowej jakim jest: „Trędowata” główna bohaterka — Stefcia Rudecka — występuje w roli męczennicy miłości. Jej wzniosła śmierć jest rezultatem uczucia miłosnego jakie żywiła do lepiej urodzonego Waldemara. Schemat ten jest bardzo często powtarzany. I tak np. w „Ulanie” Kraszewskiego mamy do czynienia z miłością tytułowej bohaterki, prostej dziewczyny do „panicza” Tadeusza Mrozoczyńskiego. Różnice stanowe są tu nie do przełamania, a finałem tego nieszczęśliwego związku mogła być tylko śmierć. Tym razem partnerem słabszym była kobieta i ona to popełniła samobójstwo „z miłości”:

„(...) puściła się ku jezioru ściskając w rękę swój pas czerwony. Zasypaną liśćmi suchymi ścieżką pędziła ku brzegowi gdzie stały topole i znajoma ławka. Jeszcze raz obejrzała się na błyszczący dwór świecący ze wzgórza, żegnała wzrokiem, potem chwyciła za topolę i objąwszy ją rekoma zapłakała. Czerwony pas drżał jej w ręku. Jeszcze chwilę tak stała z oczyma wlepionymi w okno, przez które ostatni raz go widziała, potem żywo rzuciła się na ławkę i pas zarzuciła na gałąź topoli, próbując czy ją wytrzyma, powolnie uważnie gotując sobie śmierć, aby ją nie zawiodła. Wstała na ławkę i spojrzała jeszcze, i jeszcze zapłakała zakładając

węzeł na szyję. Ostatnia chwila życia oblała się łzami. — A! ja go tak kochałam, jam dla niego wszystko porzuciła, poświęciła wszystko, a on! on! (...) Biedna Ułana przeżegnała się zwracając ku cerkwi i w powietrzu zakreśliła krzyż w stronę dzieci zwracając, potem jeszcze spojrzała na dwór. Za chwilę wiatr szumiał gałęzmi topoli, a na gałęzi zimne ciało Ułany wisiało. Dwie łzy zamarzyły na powiekach”.

Ciekawsza poznawczo jest literatura, która penetruje najciemniejsze głębiny miłosnego uczucia, a jeszcze częściej raczej tylko seksualnego związku. Szczególnie eksponowanym wtedy tematem jest motyw kąpieli i ofiary, motyw, któremu towarzyszy cierpienie, zło, masochizm pomieszany z sadyzmem. Tak widział miłość Charles Baudelaire, który w „Dziennikach poufnych” pisał: „Choćby nawet oboje kochankowie ogromnie się pożąдали nawzajem, zawsze jedno z nich będzie spokojniejsze i inniej szalone od drugiego. On albo ona będzie operatorem, czyli katem, drugie przedmiotem, ofiarą. Słyszycie te westchnienia, przegrywkę do tragedii pohańbienia, te języki, krzyki, rzęzenia? Kto ich nie wydawał, kto ich najbardziej nie wymuszał? (...) Te po-przewracane, lunatyczne oczy, członki, których mięśnie naprężają się i sztywnieją, jakby pod działaniem baterii galwanicznych (...) A twarz ludzka (...) nie wyraża nic poza dzikim okrucieństwem albo omdlewa w stanie podobnym do śmierci. (...) Ja mówię: rozkosz jedyna, najwyższa miłość tkwi w wyrządzaniu zła. Mężczyzna i kobieta od urodzenia wiedzą, że cała rozkosz to zło”.

Echa tych naturalistycznych spostrzeżeń Baudelaire’a można odnaleźć w przedwojennej powieści Iwaszkiewicza „Zenobia Palmura”. Napotykamy tam oto taką scenę: „Gdy wszedł Jerzy, oddała mu się zupełnie, gwałtownie, rozdzielała go do naga i całowała mu stopy; poniżała się do ostatecznej niewolniczości, zupełnie miazdżyła sprężynę swej osobowości. Gasła. W ciemności, bo lampkę zgasiła, czuła, jak ją dusiły powoli ramiona księcia, jak jej zabierały przytomność jego płaskie, twarde jak tarcza grecka, piersi. Wewnątrz pochylili się malwy i połamały dziewanny. Tratował koń czarny jej ogród ogrodniczeki. Cwałowała jak niewolnica porwana na arabskim bachmacie, i wciąż czuła w ustach smak ust książęcych, smak ust, które jej przez tyle dni nie dawały spokoju we śnie, w marzeniach. Nienawidziła tak głęboko wszystkiego, co było ciałem i cwałowała na namiętności swojej, jak czarownica na olbrzymim obłym fallusie”.

W tym krótkim opisie mamy spory repertuar kobiecych doznań, od „miazdżenia”, „poniżania się”, po „duszenie” i poczucie, że jest się „trafowanym”. Tego rodzaju odczucia często można spotkać w literaturze i sztuce. Miłość połączona z zadawaniem bólu, z okrucieństwem jest zapowiedzią nieszczęścia, najczęściej unicestwienia i śmierci. Wraca się w ten sposób do najbardziej pierwotnego, bo tylko biologicznego wymiaru człowieka. Są epoki w kulturze, gdzie takie stany uczuciowości stały się dominujące. Tak było w pierwszej fazie polskiego modernizmu przebiegającego w atmosferze znużenia, przeżycia, rozczarowania i dekadentyzmu. I tak u Tetmajera miłość traktowana często tylko jako pragnienie użycia przemieniała się w syntezę miłości i śmierci. Oto jak w momencie najwyższej rozkoszy potrafi się jednocześnie narodzić myśl o śmierci: „A nim twarz moja zblednie jak chusta, nim zimne wstrząsną mię dreszcze, słodka dziewczyno, daj mi twe usta, jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze”.

Klimat śmierci, a przede wszystkim zagrożenia i niepewności dominuje także w przepięknym filmie Romana Polańskiego przypomnianym ostatnio przez polską telewizję. W „Dziecku Rosemary” jest słynna scena snu o splodzeniu diabła:

„Przez chwilę Rosemary spała, potem wszedł Guy i zaczął się do niej dobierać. Pieścił ją, głaskał jej ciało poczynając od nadgarstków przywiązanych do łóżka rąk poprzez ramiona, piersi, biodra a na rozkosznie lubieżnym laskotaniu między udami kończąc. Kilkakrotnie powtarzał tę podniecającą pieczęotę swymi gorącymi dłońmi o ostro zakończonych palcach, a kiedy była już już, już gotowa i jeszcze bardziej wsunął jej rękę pod pośladki, przysunął ku sobie, przycisnął do swego twardego członka, który zagłębił się w nią energicznie, bardziej niż kiedykolwiek boleśnie, mocno, cudownie. Położył się na niej roznosiąc jej biust potężną piersią. Brutalnie i rytmicznie, z siłą jakiej przedtem nigdy nie doświadczyła, zanurzał się w niej. Otworzyła oczy i zobaczyła jego wzrok, żółty, ognisty jak rozżarzone węgle i poczuła zapach siarki zmieszany z zapachem tannisa, a tuż, tuż przy twarzy wilgotny, gorący oddech i chrapliwe rżenie rozkoszy (...) Potężny penis ani przez chwilę nie przestawał pracować, a ubrany w skórzaną powłokę tors rytmicznie o nią uderzał, uderzał, uderzał”.

Zygmunt Freud skomentowałby „sen” Rosemary posługując się twierdzeniem, że istota kobiecego stosunku do mężczyzny tkwi w masochizmie i postawie pasywnej. Aktywnym sadystą jest natomiast tylko

mężczyzna. H. Deutsch — kontynuatorka poglądów Freuda — w swej pracy „Psychologia kobiety” twierdzi, że zwłaszcza dojrzewające dziewczyny „widzą siebie gwałconymi, zniewolonymi, a także i bitymi przez bliżej nie określonych potężnych mężczyzn”. Nas jednak — mówiących o związku Erosa i Tanatosa — interesują te literackie fragmenty o tyle, o ile potwierdzają współistnienie, w tym także i wzajemną walkę pomiędzy popędem życia i popędem śmierci. Erotyka, tak na pozór silnie związana z instynktem życia niesie więc w sobie także i pierwiastek śmierci. Czasem jest to śmierć dosłowna, a czasem tylko jej „przedśionek” wypełniony przemocą, okrucieństwem, walką, namiętnościami, przewagą żywiołu biologicznego.

Wracając do początku tych refleksji przywołać należałoby raz jeszcze świat przyrody, on to bowiem dostarcza wielu impulsów nie tylko wyobraźni artysty, ale także i wyobraźni mitycznej. Zachowanie modliszki, jak i wielu innych owadów niepokoi i pociąga wyobraźnię człowieka chyba najbardziej dlatego, że dostrzega on zbieżność postępowania w świecie ludzkim. Są tylko różne techniki mówienia o tych zjawiskach. Inaczej mówi się o związku miłości i śmierci w powieści sentymentalnej, romansie, inaczej w „Brzezynie” J. Iwaszkiewicza, a jeszcze inaczej w prozie epatującej czytelnika aurą śmierci, gdzie miłość łączy się z przemocą i biologiczną żądzą. Oddajmy na koniec głos autorowi pięknych erotyków i jednocześnie najwybitniejszemu znawcy „otchlani” — Bolesławowi Leśmianowi, który pisał w „Napoju cieniowym”: „Gdy domdlewasz na łóżku, całowana przeze mnie, Gdy cię posiąść na zawsze, lecz daremnie, daremnie! Już ty właśnie — nie moja, już nie widzisz mnie wcale.

Oczy mgłą ci zachodzą. Slepną w szczęściu i szale!

Zapodziewasz się nagle w swoim własnym pomroczu,

Mam twe ciało posłuszne, ale ciało — bez oczu!...

Zapodziewasz się nagle w niewiadomej otchłani

Gdziem nie bywał, nie śniwał, choć kochałem cię dla niej!...

ZBIGNIEW PAKUŁA

„RYBY CONTRA KULTURA“ CZYLI...

Dni Słupska w Łodzi

ŁÓDŹ przywitała nas deszczem. W piątek cały dzień padało, a wieczorem była potężna burza i oberwanie chmury. Zatem dopiero w sobotę można było zaprezentować w pełnej krasie nasz program. W niedzielę znowu pod parasolami wielu mieszkańców Łodzi przyszło do miasteczka handlowo-gastronomicznego przy Hali Sportowej. Największym powodzeniem cieszyły się stoiska z rybami, siodlami oraz artykułami skórzanymi. Udanym zakupom towarzyszyły koncerty estradowe Kapeli Podwórkowej ODK „Emka” oraz Grupy Baletowej „Arabeska” z WDK. Zespoły te przyjmowane były bardzo życzliwie. Nie mogły narzekać na brak widowni, a to przede wszystkim dlatego, że występowały we właściwym miejscu. I tak chyba prezentację twórczą należało traktować.

SŁUPSKA kultura wystąpiła z interesującą ofertą programową. Poza wymienionymi koncertami SGB „Arabeska” i Kapeli Podwórkowej, w łódzkich przed-szkolach prezentował się z dużym powodzeniem teatrzyk dziecięcy „Pucnatek” z GOK w Potęgowie. W Ośrodku Teatralnym Łódzkiego Domu Kultury, Teatr „Stop” z Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku przedstawił spektakl pt. „Seks-tet”. Spektakl ten zyskał już sobie duży rozgłos w kraju. Został on zaproszony na specjalne życzenie łódzkiej publiczności i sądzę, że publiczność ta została usatysfakcjonowana. Teatr „Rondo” działający przy WDK zaprezentował w Parku Julianowskim widowisko plenerowe pt. „Światło i ciemność”. Oryginalna forma tego spektaklu przyciągnęła niezrażonych pogodą łodzian. Spektakl ten został owacyjnie przyjęty przez zgromadzoną publiczność.

W SOBOTĘ, 19 września w Łódzkiej Szkole Muzycznej odbył się koncert galowy pn. „Słupsk — Łódź” w wykonaniu słupskich artystów. Prezentowali się muzycy orkiestry kameralnej, zespół „Gryfici” oraz duet taneczny tańca towarzyskiego. Prezentowany program był wizytówką kultury muzycznej naszego miasta.

W TYM samym dniu w galerii BWA w Parku im. Sienkiewicza prezentowana była wystawa „M — jak morze”. Prasa łódzka pisała, że w sobotę w ciągu pięciu godzin wystawę zwiedziło ok. 40 osób, co stanowi podobno sporą irkwencję, gdyż poprzednia ekspozycja gratiki japońskiej w ogóle nie miała zwolenników.

MIMO ogromnego wkładu pracy ze strony słupskich organizatorów, dobrego poziomu prezentowanych programów, w moim odczuciu zabrakło zaangażowania ze strony organizatorów łódzkiej kultury. Kiepska reklama imprez, i co za tym idzie — słaba frekwencja nie dała oczekiwaną satysfakcji słupskim artystom. Wspominam z żalem, jak to w ubiegłym roku organizatorzy słupskiej kultury gościli łódzkich artystów. Jednocześnie doskonale pamiętam ile zabiegów kosztowało nas zorganizowanie widowni, mimo udziału tzw. „nazwisk”. Tylko pytanie, czy o taką publiczność nam chodzi? Przecież nie zależy nam na „organizowanej widowni”, zmuszanej do udziału w imprezach kulturalnych tylko po to, żeby wszystko „grało”. Może należałoby się przyjrzeć temu problemowi z drugiej strony. Skąd ten sukces ryb i szaszłyków baranich? Skąd te nerwowe kobiety z ciężkimi siatkami? Skąd puste placówki kultury w dni wolne od pracy? Skąd smutne łódzkie ulice? Wiadomo, że odbiorca musi być realny, tj. dysponujący siłą nabywczą i chęcią skorzystania z oferowanych mu dóbr. Aby placówki kultury tętniły życiem, ludzie muszą posiadać nadwyżki ekonomiczne ponad konieczne minimum biologicznej i społecznej egzystencji. Tam, gdzie podstawowe problemy ludzi związane są z walką o byt codzienny, nie może rozwijać się kultura masowa i tam będą ryby contra kultura. A zatem rozwój kultury masowej jest wskaźnikiem nie tylko kulturalnego lecz i ekonomicznego poziomu życia.

W PRZYSZŁOŚCI należałoby się zastanowić nad formułą prezentacji kulturalnej podczas Dni Słupska w Łodzi. Czy nie powinna ona — jak sugeruje red. Jarosław Duchnowicz w artykule „Słupskie żagle nad Łodzią” („Zbliżenia”) — ograniczyć się do imprez towarzyszących handlowi. Po co nam ten fałsz? Może przy okazji prezentacji kulturalnych udałoby się, choć na krótko, wywołać uśmiech na twarzy kobiety stojącej w kolejce po ryby.

ELŻBIETA ŻOŁYŃIAK

LIST DO WIDZÓW

Po sezonie przed sezonem

RYSZARD JAŚNIEWICZ

„Umrzeć ze śmiechu” Jacka Janczarskiego połączyło miniony sezon z tym, w który weszliśmy 15 września. Próby odbywały się przed wakacjami, premiera po wakacjach. Tytuł jest wielce wymowny, można go na różne sposoby interpretować. I to chyba bardzo dobrze i radośnie, śmiechu w teatrze powinno być sporo, tylko, żeby nie przedawkować i na scenie, i na widowni. Jest w teatrze zwyczaj, że tytułami premier podsumowuje się miniony czas. A więc jak to było w ostatnim sezonie. „Zemsta”, „Życia nie szukaj”, „Ubu król”, „Iwona księżniczka Burgunda”, „Sługa dwóch panów”, „Umrzeć ze śmiechu”. No, tak — trochę straszne — trochę książęco i trochę usłużnie. Gdyby to zmieszać — groza, królewskość, trochę ukłonów i figli — wychodzi klasyczny, wręcz Szekspirowski przepis na sztukę. Zupełnie dobrze. A kto się tak mścił? Duchy — teatralne duchy. Niby nie wierzymy, a są, mīt „Antygony” nas prześladowały. Kolega powiedział, że nie uwierzy dopóty, dopóki nie złamie nogi, i złamał, i uwierzył, i nie gramy „Antygony”.

A naprawdę to „Zemsta” A. Fredry była wydarzeniem w naszym teatrze. Wspaniała, zrekonstruowana scenografia Władysława Daszewskiego. W ten sposób teatr słupski uczcił piętnastolecie śmierci wybitnego człowieka polskiej sceny. Reżyserowała żona artysty — wybitna aktorka i znakomity reżyser. Pamiętam w jej reżyserii „Parady” Potockiego — jedno z nielicznych przedstawień, które na zawsze utkwiły mi w pamięci. A kreacje Krafftówny, Gołasa przeszły do historii teatru. Dzięki Pani Ewie aktorzy obronili rolę, a to przecież sztuka niełatwa, każdy z nas ma w pamięci kilku wspaniałych Cześników, Rejentów, Dyndalskich, kilku cudownych Podstolów czy Klar. Chwalono nas także

za podawanie wiersza, komplement nie lada, bo obecnie w teatrach z wierszem postępuje się niemiłosiernie, kaleczy, niszczy, łamie jak najgorszego intruza. To była satysfakcja grać w tym przedstawieniu, oglądać dekoracje tak proste a zarazem tak traine i wesołe, radosne, narzucające tempo, galop, i tak bardzo dowcipne.

Montaż poezji „kaskaderów” literatury polskiej, jak zwykle się określać tę czwór-kę buntowników, interesował przede wszystkim młodzież, ale ja także z wielkim przeżyciem słuchałem ich mądrych i bolesnych słów. Stachura dla jednych jest wielkim, dla innych grafomanem, a to już coś znaczy, to określa poetę. A jeszcze Wojaczek, Bursa, Milczewski-Bruno. „Życia nie szukaj”, a czego? śmierci? Ja wychodziłem z przedstawienia z postanowieniem poszukania życia. Bo nie negacja była myślą przewodnią, lecz w negacji doszukiwanie się nowego, swojego. Miałem szczęście, bo znałem trójkę z tej czwórki, Wojaczka, Stachurę i Milczewskiego. I chociaż wtedy nie byli wielcy i w ogóle prawie nie byli, nieśli ze sobą niepokój, ale również optymizm, szczególnie Stachura.

„Ubu Król” Jarry'ego, mocna sztuka, głośna sztuka, często zdejmowana z afisza. Kilkunastoletni sztubak wyśmiewał się ze spraw bardzo ważnych i to denerwowało bardzo poważnych. A u nas to wypadło letnio i trochę smuci, chociaż byli wid-zowie zachwycający się i mieszkający z blo-tem, co świadczyłoby, że było to przedsta-wienie interesujące. Ja myślę, że wyko-rzystanie masek nie było najtrafniejsze i to, że aktorzy pierwszy raz zetknęli się z tego rodzaju techniką teatralną trochę ich spinało, nie mogli wydobyć z siebie wszy-stkich możliwości. A scenografia była prze-piękna, robił ją Pan Killian. To zrozumiałe.

Zaproszeń także mieliśmy sporo z różnych stron Polski.

„Iwona księżniczka Burgunda” — drugi motyw królewski sezonu. Przedstawienie zrobiliśmy dla uczczenia dziesięciolecia teatru. Dziesięć lat temu grano tu „Operetkę” Gombrowicza. A więc Gombrowiczowska kłama. Miło pomyśleć, że w słupskim teatrze pracowało tak wielu wybitnych dziś reżyserów, aktorów, scenografów, muzyków: Prus, Wiśniewski, Nyczak, Peryt, Sztanowski, Grzebiński, Nowicki, Nowak, Jaromolowicz, serce rośnie. Mam nadzieję, że niejedno nazwisko dzisiaj pracujących będzie także chlubą polskiego teatru. A iluż zdolnych ludzi oddało serce, talent, rozum na zawsze słupskiemu teatrowi. Wystarczy spojrzeć na scenę, zajrzeć do pracowni elektryków, akustyków, krawców, stolarzy, malarzy, do biur. Może nie są tak głośni, ale na pewno jeszcze wspaniali.

Po premierze „Iwony” odbyło się spotkanie z władzami. Były rozmowy, dyskusje, żarty, a przede wszystkim troska o to, ażeby teatr rozwijał się, aby miał jak najlepsze warunki do pracy. Dziesięcioletnią tradycją jest to także, że władze wielką serdecznością otaczają teatr i orkiestrę. Przed premierą mieliśmy sporo kłopotów, koleżanka złamała rękę, właśnie kolega nogę. Zastępstwa w ostatniej chwili, kosztowało to sporo nerwów i pracy. Ale potem napięcie opada i wszyscy dochodzą do wniosku, że warto było. A kelner z „Metra”, do którego często chodzę, powiedział mi: „nie wiedziałem, że u nas stołuje się król” — o to coś jest.

Wielkim wydarzeniem był VIII Słupski Tydzień Teatralny. Uważam, że była to udana impreza. Najbardziej podobali mi się Szwedzi, ten kilkusobowy zespół pokazał wielką sztukę aktorską. Fascynowali i zachwycali aktorzy z Zakopanego. Pokazał kilka swoich spektakli i podobali publiczności jak najbardziej zasłużenie. Mnie porwał ich zapał, zaangażowanie i oddanie sprawie. To jest nowość, to jest młodość, to jest inne myślenie.

A w naszym teatrze „Sługa dwóch panów” Goldoniego. Słynna, błyskotliwa, trudna. Rola Truffaldina obrosła niebywałą tradycją. Czegoż nie wyprawiali w tej roli aktorzy, wręcz cyrkowe popisy, rej wodzili w tym Włosi, a scena z talerzami to popis ekwilibrystyki na najwyższym poziomie. Myślę, że nasz Bogdan Kajak z honorem broni tradycji, mając do tego wdzięk.

„Umrzeć ze śmiechu” czy płakać. Koleżanka, która przedtem złamała rękę, teraz upadła i bardzo niebezpiecznie przecięła

sobie twarz w okolicach oka. Premiera odpływa, ale pracujemy. Kaja bohatersko walczy z bólem, ze strachem, z niepewnością. We wrześniu przed premierą skacze, pada, walczy na scenie. A więc w nowy sezon wchodzimy ze śmiechem, z pewnością, że następny będzie lepszy, radośniejszy, ale również pracowity. Kłopotem największym jest reklama, nie umiemy się sprzedawać. A przecież można, trzeba by coś wymyśleć.

Przydałby mi się w reklamie ten ktoś, kto zrobił mi wspaniałą reklamę. Bardzo prosto i o to chodzi. Wysłał wszędzie, gdzie się dało pocztówki, na których wydrukował kilkadziesiąt razy moje nazwisko. Chwyciło, dostałem kilka propozycji. Jestem zachwycony. Gdyby tak w teatrze. Tymczasem, póki co postanowiliśmy wyjść na ulicę — żywa reklama. Ludziom się to podoba, warto kontynuować. A w robocie teraz bajka Hanny Januszewskiej „Flisak i Przydróżka”. Jestem przekonany, że będzie się podobać nie tylko dzieciom. Reżyseruje Zofia Miklińska. W grudniu zapraszamy. Wcześniej będzie „Ławeczka” Gelmana w reżyserii Marka Okopińskiego. Potem „Cmentarzysko samochodów” Arrabal’a, „Świętoszek” Moliere’a, w „Małym dworcu” Witkacego, „Kiedy minie pięć lat” Lorki. A właśnie minie wtedy moich pięć lat w Słupsku.

Będąc na festiwalu teatralnym w Lyonie, nawiązałem kontakt z grupą teatralną „Theatre d’Orvutture”. Mam nadzieję, że będziemy mogli nawiązać współpracę z kolegami z Francji. Bardzo to nam potrzebne.

Zaczynamy nowy sezon. Tytuły można zestawić i różne rzeczy ciekawe mogą z tego wynikać. W każdym bądź razie można pobawić się w układankę. Mam nadzieję, że kolorową, mam nadzieję, że serdeczną, mam nadzieję, że pożyteczną. Zapraszam do teatru, który w czasie wakacji został odnowiony. Mamy też kilka nowości technicznych — to naprawdę cieszy i zachęca do jeszcze większego wysiłku.

Zaczęliśmy także sezon w szkołach. Były już premiery z cyklu „Poznajemy teatr” i „Rozmowy o teatrze” — ogromną więźmy z tym cyklem nadzieję. Ostatnie trzy lata przekonały nas, że mamy wielu przyjaciół i entuzjastów tej formy działania teatru. Cieszymy się bardzo i do zobaczenia w szkołach, w teatrze, na spotkaniach. Serdecznie zapraszam miłośników teatru nie tylko na przedstawienia, ale także na próby, na spotkania, na wspólne o teatrze dyskusje.

ZANIM UKAŻE SIĘ KSIĄŻKA...

Fragment powieści Anatola Ulmana „Ojciec nasz Faust Mefistofelewicz”

Panna Czyczy

Ojciec nasz Faust Mefistofelewicz bardzo delikatnie sprostował mniemanie matki naszej Matyldy, iż panna (pani) Czyczy jest istotą nieszczęśliwą, szukającą w szaleństwie daremnego schronienia przed nieznanymi nam demonami. Swoją wrażliwy sąd Matylda tworzyła jedynie na podstawie oglądu, dosyć dyskretnego, twarzy panny Czyczy tak bardzo kojarzącej się z niewielkimi niedojrzałymi dyniami o ciemnoniebieskiej barwie, które przymrozki i chłodne deszcze jesieni napiętnowały przedwczesną starością na południowym skraju wysypiska, gdzie mamy ogródek warzywny.

— Wróciła w dzieciństwo, gdyż jest w nim szczęśliwa i bezpieczna.

Panna Czyczy skradała się czasem nieśmiało niby mała dziewczynka (którą zresztą jest) na haldy Zielonych Wzgórz w poszukiwaniu kolorowych wstążek. Często bowiem zmieniała, nie wprowadzając inowacji do reszty stroju, przewiązanie dwóch dziecięcych kitek swoich włosów, zwykła kokieteria podłotków. Rozgrzebywała odpadki niezgrabnie jak uczący się od kwoki (nieistniejącej przecież) kurczaczek pracujący stopami, by wyszukać rzeczy potrzebne. Zbierała barwne szmatki, które dawała na wąskie paseczki oraz ze szczególnym zadowoleniem (wyczuwaliśmy je, gdyż nie objawiała radości w sposób ogólnie znany) sztuczne wstążki, smutne w swych wesołych kolorach, które, wyrzucone, nadal jednoczyły zeschłe ślubne oraz imieninowe bukiety brudnych kwiatów, często już jedynie poszarzałych badyli posypanych obierzynami.

Rozumieliśmy, iż Faust usiłował nam zaszcześcić wyrozumiałość dla cudzego szczęścia, zrozumienie natury człowieka, który w łagodnym szaleństwie znalazł potrzebny mu spokój ducha.

Panna Czyczy była (i jest) istotą płochliwą. Zaobserwowaliśmy kiedyś z siostrą moją Małgorzatą jej szybką nagle ucieczkę przed ogrodniczym traktorem na alejce parku Hanki Sawickiej. Pracownik miejskiej zieleni wioził ułamaną przez letnią burzę gałęzie, szliśmy mu naprzeciw i wyminął nas wprawdzie, ale postępująca za nami przypadkowo panna Czyczy uciekła przerażona przed tym małym buczącym potworkiem w inną alejkę wśród krzewów, aby po jakimś czasie, gdy w parku nastał pożądany spokój, wrócić do celów swej wędrówki nad rzeczką Dzierżęcinką. Niosła w dłoni (zwykle coś nosi dla nieodgadnionych przyczyn oraz skutków) metalowe garnki, w jakich transportuje się posiłki.

Nigdy dotąd nie przyszło nam do głów w dosyć konsekwentnych poszukiwaniach kobiety o sześciu piersiach, że panna Czyczy wchodzić może w rachubę jako nieznana tropiona Tujwa. Pominąwszy jej pomarszczoną twarzyczkę dziewięćdziesięcioletniej babci oraz obnażone zawsze do dwóch trzecich ud nogi czterdziestoletniej (w jakimś sensie erotyczne w swej krzywej brzydocie) w całej reszcie pozostawała najwyżej dziesięcioletnią dziewczynką, czego dowodzi nieco staroświecki czepek (zupełnie jak na dziewiętnastowiecznych ilustracjach niemieckich pism odkopywanych przez naszego ojca Fausta w suchych pokładach śmietniska), króciutka spódniczka dziecka, płaszcz podłotka i stosowne buciki.

Pogląd, iż panna Czyczy jest naszą rówieśniczką (nieco dziwną wśród zunifikowanych dzieci, przecież i my odbiegamy wyglądem od innych) nie ostał się, gdy Jewdokija Osipowna swymi żółtymi zębami wyciągnęła ze stosu pożeranych właśnie papierów mały album fotograficzny z wizytówką właściciela („Mgr Czesław Cygaj, dyrektor”). Koza poczęła na oczach naszych pochłaniać tekturową okładkę oklejoną w jakieś smaczne płótno, wysypało się trochę fotografii, jedna z nich przedstawiała (do czego doszliśmy trochę później), pannę Czyczy, więc zabraliśmy Jewdokiji zdjęcia nagich kobiet (uwieczniających głównie żonę dyrektora Cygaja, co miało się również wyjaśnić na skutek naszej przedsiębiorczości).

Siostra moja Małgorzata, mniej zaambarasowana ostro widoczną na pierwszym planie zdjęcia pięć kobiet między gęstymi skudłonymi włosami, odkryła w młodej (prawdopodobnie piętnastoletniej) twarzy rysy panny Czyczy. Więc gdyby te twarze,

żyją oraz z fotografii zestawić ze sobą, można by twierdzić, iż zdjęcie zrobiono jakieś siedemdziesiąt lat temu, chociaż panna Czyczy nadal jest małą dziewczynką z zalotnymi wzruszającymi kitkami na głowie. Skrupulatny porządny autor fotografii postawił jednak datę na odwrocie: rok sześćdziesiąty piąty.

W takich okolicznościach rozsądnie było przypuścić, iż panna Czyczy pod maseczką niewinnej szalonej starej dziewczynki przechowuje różne tajemnice, dla czego więc nie interesującą nas straszną historię Tuijwy? Fotografia nie pozwalała stwierdzić ilości jej piersi, ukazywała jedynie dwie twarze panny Czyczy: zdziwionej dziewczyny i kobiety z lakomymi ustami wśród źle utrzymanej brody pod brzuchem.

Żonę pana Czesława Cygaja rozpoznaliśmy po wypalonych bezbarwnych oczach (identyczne na zdjęciach, jakby nie cieszyły jej wtedy rozpustne sytuacje), gdy otworzyła drzwi spółdzielczego mieszkania przy Traugutta, drobna, stara jak Indianin, przerażająco smutna.

— On jest w placówce — wyszeptala. — Tam idźcie, dzieci.

Siostra moja Małgorzata podała dłoń pani Cygajowej, która uściśnęła ją ze strachem, choć miał to być gest solidarności. Kobieta zniknęła z progu tak nieobowiazująco jak znikła cień.

— To człowiek nikczemny — powiedziała Małgorzata z wielką pewnością, gdyśmy powoli szli w cieniu starych lip ulicy Armii Czerwonej (drzewa owijała jasna zieleń ciepłej wiosny). — On dopada kobiet i wysysa z nich młodość. To jest pajak. Oczywiście będę uważać, by nie zamienił mnie w starą kobietę, tak jak pannę Czyczy.

Drobna mizerna pani Cygajowa miała na myśli placówkę oświatową. Pan Cygaj tkwił w jej środku, w brudnym różowym niegdyś gmachu, trochę samotny, gdyż było wczesne popołudnie, pora przedzielająca dwie zmiany uczniów. Siedział za starym biurkiem wśród syntetycznie ustawionych mebli a w nich symetrycznie ustawionych Dzienników Urzędowych w pękatach segregatorach. Pisał zarządzenia dla nauczycieli wieczornych.

— Nie przeszkadzajta mu — zażądał woźny, starszy człowiek z pogodną twarzą pijaka. — On tera robi rozkazy dla nauczycieli. On dyktuje pismem. Podłość bez wyobraźni. On nigdy nie rozmawia z nikim, pisywa listy. Można napisać do niego list, albo i podanie, ze sprawą.

Poprosiliśmy woźnego o kopertę, nosił ich plik w kieszeni wytartej marynarki, by nauczyciele mogli korespondować ze swym dyrektorem. Siostra moja Małgorzata włożyła do koperty jedną z fotografii, na których pani Cygajowa przed dwudziestu dwu laty pokazywała na pamiątkę swe urzędowania seksualne. Małgorzata nie pożyczyla żadnych zapisków. Przecież zostaliśmy wpuszczeni do dyrekcji błyskawicznie.

Twarz pana Cygaja zachowywała się osobliwie. Biała w swej części górnej, od brwi do nasady włosów, czerwieniła napuchniętą purpurą w elementach pozostałych, jakby jej właściciel nie dopuszczał do mózgu wściekłości (i strachu) przepełniającej całe jego ciało kretyna. Uśmiechnął się słodko (śliniący się uniżony uśmiech wśród ohydnej czerwieni) białutkimi wąskimi usteczkami. Słiskim cukierkowatym głosem poprosił o wyjaśnienie cudu, który zaistniał, skoro takie (zdumiewające) dzieci weszły w posiadanie tak nieodpowiedniego dla ich psychiki (oraz ciała) zdjęcia. Przedtem przeprosił nas za cyniczną kobietę z fotografią (zuchwałą rozpustną oraz niegodziwą), nieznana mu nigdy, przecież czuł się odpowiedzialny z racji szczególnego zawodu, jaki pełnił całe życie.

— Zdjęcie jest nieistotne — wyjaśniłem. — Rzecz przypadku, iż trafiło do nas razem z albumem, a do nadania biegu sprawom wydobyła je Jewdokija Osipowna z niepamięci Zielonych Wzgórz. Interesuje nas inna postać, konkretnie panna Czyczy.

Nie słyszał o pannie Czyczy, chociaż każdy człowiek w tym mieście musiał się z nią wiele razy zetknąć (miała wiele do załatwiania w różnych dzielnicach i przebywała ulice w różnych porach dnia).

— Panna Czyczy jest uważana za osobę nienormalną. Za szaloną pannę, jakby mało ludzi tutaj i gdzie indziej, było dziećmi niezależnie od wieku — dodała siostra moja Małgorzata. Małgorzata krótko nakreśliła słowny portret czterdziestoletniej dziewczynki z kobiecymi odkrytymi nawet zimą (panna Czyczy nosi wówczas grube rajtuzy) nogami.

— Ach — stęknął pan dyrektor Cygaj. — Coś mi się kojarzy. Lecz co ja mogę. Więc nazywa się panna Czyczy?

— Przypuszczalnie panu panie Dyrektorze — powiedziałem — panna Czyczy zawdzięcza to szczęście, iż na zawsze pozostanie małą dziewczynką z dwoma wstążeczkami wiążącymi jej niedługie włosy w dwie śmieszne kitki.

— W żadnym przypadku! — zaprzeczył. — Nic podobnego. Nie do pomyślenia absolutnie.

Siedział bez przerwy za tym swoim biurkiem. Staliśmy. Byliśmy petentami.

Pan dyrektor Czesław Cygaj spościł się na bladym wysokim czole.

— Głównie — wyjaśniłem grzecznie — interesuje nas liczba piersi, jakie posiada panna Czyczy. Mamy nadzieję, iż pozostał panu w pamięci ten szczegół. Na tej bowiem fotografii trudno to stwierdzić. Cały odcinek ciała, na którym ta lub inna liczba piersi panny Czyczy mogłaby się znajdować, pozostaje w całkowitej czerni.

Podsiedłem do biurka i położyłem na nim zdjęcie panny Czyczy.

— Kochane dzieci — rzekł pan Cygaj wzruszonym głosem — nic mnie nigdy nie łączyło z tą dziewczyną!

— No cóż — zauważyła siostra moja Małgorzata. — Rozdamy zdjęcia nieszczęsnym pana wychowankom, aby upowszechnić zgorzsenie. Biedna pani Cygajowa.

— A przecież Jewdokija Osipowna mogłaby album w całości, razem z fotografiami, przerobić na tłuste mleko — zauważyłem.

— Obrzydliwe podłe dzieci — rzekł cicho pan Cygaj. — Zdeprawowany produkt miejskiego śmietnika. Ziarno czekającej nas apokalipsy.

Siostra moja Małgorzata obróciła się na pięcie. Również odwróciłem się tyłem do pana Cygaja dyrektora placówki.

— Dwie, jak każda kobieta — wychrypiał za nami.

— O czym pan jest uprzejmy mówić? — spytałem.

— Miała dwie piersi — powiedział cicho, z lękiem.

(fragment powieści „Ojciec nasz Faust Mefistofelewicz”)

ANATOL ULMAN

Nowości „Globu”

■ ERWIN RINGEL: „GDY ŻYCIE TRACI SENS. ROZWAŻANIA O SAMOBOJSTWIE”. Wydawnictwo „Glob” Szczecin 1987, nakład 30 tys. egz., cena 400 zł.

To fascynująca lektura o sprawach znanych najczęściej z sensacyjnych doniesień prasowych dotyczących popularnych gwiazd filmowych, polityków, ludzi interesu. Jej autor zorganizował już w 1943 roku w Wiedniu pierwszy w Europie ośrodek zapobiegania samobójstwom pod nazwą „Lebensmudelforsorge” (opieka nad zmęczonymi życiem). Przeprowadzając badania 745 pacjentów po próbie samobójczej odkrył tzw. „zespół przedsamobójczy”, stanowiący kompleks objawów, pozwalających wczuć się w sytuację człowieka zagrożonego samobójstwem. Polski czytelnik otrzymuje nie naukową, lecz raczej popularną pracę, w której Ringel pokazuje w jaki sposób samobójstwo ukazywane jest w sztuce (w literaturze, muzyce, malarstwie) dowodząc jednocześnie, że często są tam przez twórców dokładniej, niż w literaturze naukowej, odzwierciedlone różne psychopatologiczne stany.

Rozważania Ringela oparte są na rozumieniu samobójstwa jako skutku długiego procesu narastania się urazów prowadzących do zmian osobowości człowieka, zwłaszcza do utraty sił dynamicznych, ekspansywnych i osłabienia mechanizmów obronnych. Tym, co wydaje się w tej książce niezwykle ciekawe, jest szukanie przyczyn samobójstwa w zaburzonych stosunkach rodzinnych w dzieciństwie. Wtedy to bowiem kształtuje się postawa człowieka wobec życia, tworzy się jego poczucie wartości, rodzi się samoakceptacja. Analiza roli dzieciństwa to jednocześnie i rozdział pracy Ringela, który w kolejnych partiach książki omawia jeszcze takie zagadnienia, jak stan psychiczny człowieka zagrożonego samobójstwem, wpływ warunków społecznych na wyzwalanie się skłonności samobójczych, przewidywanie sytuacji kryzysowych, by w ostatnim rozdziale zakończyć na refleksjach związanych z próbą od-

powiedzi na pytanie „dlaczego pisze się i czyta książki o samobójstwie?”

„Rozważania o samobójstwie” są pracą wyjątkową także dzięki esejistycznemu stylowi (są więc książką dla każdego) i bardzo licznym odwołaniami („cytatami”) do literatury pięknej. Można ją czytać jak antologię tekstów literackich zebranych pod naszym samobójstwem. Ringel pokazuje, że podejmowana samodzielnie przez człowieka decyzja co do własnego życia jest nie tylko problemem medycznym, psychiatrycznym, ale także społecznym, kulturowym, religijnym, duchowym. Jest więc to problem nas wszystkich i w tym tkwi tajemnica niezwykłej popularności wszelkich informacji i publikacji dotyczących samobójstwa. A na pytanie jak pomóc drugiemu człowiekowi w sytuacji kryzysowej wiodącej do samobójstwa Erwin Ringel odpowiada tak: „być przy kimś, by mógł on jeszcze być”.

♦ ♦ ♦

■ HENRYK MAKA: „PIRACI NASZYCH DNI”. Wydawnictwo „Glob” Szczecin 1987, nakład 30 tys. egz., cena 200 zł.

Tytuł najnowszej książki Henryka Maki, pisarza-marynisty, wszystko wyjaśnia. Rzecz bowiem dotyczy piratów, oczywiście nie tych, którzy kojarzą nam się z trupią główką i skrzyżowanymi piszczelami, lecz piratów współczesnych wyposażonych w nowoczesne uzbrojenie i w doskonale wyposażone techniczne statki pirackie. Jak pisze we wstępie sam autor, w wieku XX zmieniło się bardzo wiele, a samo piractwo trudno utożsamiać tylko z napadami na pełnym morzu: „Dzisiejsi piraci powiązani w gangi i mafie, z całą siatką własnych szpiegów i współpracowników na lądzie, działają także zza biurka. Używając telefonu, telexu czy ukafki, jeżdżąc eleganckim samochodem w dobrze skrojonym garniturze, z dyrektorską teczką wypchaną dokumentami, pirat taki nie musi nawet znać morza. A mimo to, nie wychodząc z biura, potrafi spowodować awarię maszyny lub wybuch w ładowniach, sprzedać skradziony towar wartości wielu milionów dolarów...”

Książka Maki jest zbiorem ponad 20 opowieści zastygłych, jak przyznaje autor, z ust polskich marynarzy, z raportów międzynarodowych, z doniesień polskiej i światowej prasy. Czyta się je nawet z zapartym tchem, i wszystkim tym, którzy lubią książki marynistyczne warto polecić „Piratów naszych dni” na deszczowe, jesienne wieczory.

MARIA ŚWIĄTKOWSKA

TOMASZ LIPSKI

NOCNA SPOWIEDŹ

przed snem
dotykam ściany
miękkiego mchu
tapety
pchu
rozwiązującego
mi usta
jak krata
konfesjonatu

kiedyś
śmiejąc się
ominąłem
powalaną
gałązkę bzu
nie wierzyłem
w miłość
w fioletowej
szacie
lecz dzisiaj
lekkie pukanie
spętało mi usta
niespełnionymi
marzeniami

UPADEK BOGÓW

w starym parku
ciemnym i cichym
jak pełne
obietnic
wnętrze kościoła
w tajemnicy
przed samym sobą
modliłem się
do starego dębu
o siłę
do dalszego życia

wczoraj
z przerażeniem
słuchałem
zgrzytu pily
na omszałej korze

ja także
osuwam się
na kolana

POMNIK PRZYRODY

rankiem przybito mi
na piersiach
gwoździemi kartkę

bluszez samotnik
sen o zielonych liściach
pełzających
po gruzach
ludzkich uśmiechów
śmiech będzie karany
sądownie

samotnik

nawet drzewa
odwróciły się
do mnie plecami

USPRAWIEDLIWIENIE

ktoś powiedział
zło jest
brakiem dobra
krzykiem
wgryzającego się
w usta
w słowa
w myśli
martwych ludzi
na ulicach

oni są
z innej bajki
panie milicjancie

BIAŁY WALC

tej nocy
przez wąwozy
ulic
cichych
strwożonych
spacerowała
śmierć
z białą
parasolką
poszukując
chętnych
do walca

jak dobrze
że nie mam
fraka

BEZRADNOŚĆ

miałem gościa
niósł na ramieniu
ból swoich kości
zataczając się
pomachał mi
siny sztafandarek
skłutych żył
krzykiem gniewu
zlanego krwią i potem

chciał być znowu
Panem Bogiem

nie pomogłem mu
nie miałem
nawet na piwo

Ostre strzelanie (IV)

Pewnego razu, gdy po nocnym dyżurze przyszedłem do domu i położyłem się spać, przebudziło mnie strzelanie. Podczas okupacji to nie było żadną nowością, ale zainteresowało mnie to, że bardzo blisko. Odsunąłem zasłonkę w kuchni i z przerażeniem zobaczyłem, że to na moim podwórku czterech chłopców, w tym moi synowie Wiesiek i Kazik oraz synowie kolejarzy Witaka i Hajduka, zrobili sobie ćwiczenia. Na piwnicy nalepione było koło z papieru a oni z odległości paru metrów z pozycji klęczącej prują kolejno do tarczy. Szybko się ubrałem i zaszedłem ich od tyłu. Złapałem karabinek, a bohaterom kazałem na kolanach przysięgać, że niczego nie widzieli, tłumacząc im, że ta sprawa groziła bezpośrednio mnie. Szczęście, że mój domek kolejowy był dookoła obity deskami około 2 m wysokości. Na strychu mego domku przechowywałem za kominem pod deską i liśćmi swoją akowską broń, a że chłopcy też taką mieli, ja o tym nie wiedziałem. Od czasu do czasu zdarzało się, że chłopcy mieszkający w Celestynowie obrabiali niemieckie wagony. Jednego razu otworzyli wagon z mundurami niemieckimi, a mnie powiadomili, że kilka mundurów wrzucili też na moje podwórko. Gdy zobaczyłem, była tego cała kopa, równa z parkanem. Posłałem zaraz mego najstarszego syna do mego szwagra we wsi Skorupy, aby przyjechał wozem i zabrał to wszystko na wieś, by ludzie to wzięli. Po przeфарbowaniu i przeróbce mundurów można było nieźle się ubrać.

× × ×

19 maja 1943 roku pełniłem dzienny dyżur. W godzinach popołudniowych zgłosił się do mnie wywiadowca Centralnej AK z Warszawy z powiadomieniem, że przyjechał, aby zapoznać się z terenem stacji Celestynów w związku z planowanym tej nocy odbiciem 49 więźniów wieszonych z Majdanka do Oświęcimia. Zaznaczył, że nasze celestynowskie SK udziału w tej

akcji brać nie będzie. Wspólnie z nim obeszliśmy park, wskazałem piwnice obsypane ziemią, grubsze drzewa jako dobre zasłony dla akowców. Ponadto obiecałem, że zatrzymam cały pociąg z piaskiem (około 50 wagonów), który był ładowany na platformy z góry w Celestynowie, a przewożony do sypania budowy toru Warszawa Rozrządowa. Przekazując dyżur o godz. 20 koledze dyżurnemu ruchu Naumczykowi powiadomiłem go o tej akcji, aby przez zaskoczenie nie popełnił jakiegoś głupstwa. Oczekiwany pociąg z Lublina do Warszawy miał być wg rozkładu o 23.20. Przed godziną planowanego przybycia pociągu przychodzi wysłany akowiec z pytaniem kiedy pociąg przybędzie. Opóźnienie było około 40 minut. Kiedy już miał pociąg wejść na stację zgaszono palącą się na peronie naftową lampę. Wygaszono również oświetlenie w biurze dyżurnego ruchu. W kompletnej ciemności pociąg już po północy wjechał na stację. Dyżurny ruchu zgodnie z przepisami wyszedł na peron na spotkanie pociągu, ale na peronie poczuł na plecach dotknięcie lufy automatu i cichy głos: „rączki do góry, marsz do swego biura”. Po chwili w takiej samej postawie wyprowadzono robotnika stacyjnego Berko. Obydwaj z dyżurnym ruchu musieli położyć się na podłodze. Z poczekalni przyprowadzono jeszcze emeryta kolejowego Wasążnika: „a ty dziadku siedź sobie spokojnie przy piecu”. Cisza. W drzwiach stoi z automatem żołnierz SK pilnujący, aby się nic nie stało. Poszczególne żołnierze na upatrzonych stanowiskach. Do wagonu bagażowego weszło dwóch uzbrojonych, pytając — czy Polacy? Rozdawca bagażowy był Polakiem a kierownik pociągu Niemiec. Polak od razu położył się, a Niemiec chciał złapać za broń, ale dostał w łeb. Broń mu zabrano i jak baranek też musiał się cicho położyć. Teraz parowóz. Z obu stron wchodzi żołnierze, pytają — czy Polacy? Tak. Maszynista i pomocnik byli Polakami. Otrzymał polecenie zachowania spokoju, a dla pewności został na pa-

rowozie pilnujący żołnierz. Leżący na podłodze dyżurny ruchu Naumczyk usłyszał wołanie telegrafu stacji Pogorzal „CL...”. Spytał stojącego w drzwiach żołnierza, czy może się zgłosić do aparatu bo stacja Pogorzal chce nadać przeście pociągu. Na to żołnierz odrzekł: „ja też jestem kolejarzem, znam pracę telegrafisty, sam odciorę”. Gdy odebrał telegram, Naumczyk zasugerował, że należy pociąg przepuścić. Na to żołnierz: „po cholere? Niech stoi pod semaforem. Tu by tylko przeskadzał”. Miał rację, bo to był pociąg z wojskiem, który podjechał pod semafor i poczał gwizdać upominając się o wolną drogę. Z wagonów środkowych stojącego pociągu „Nur für Deutsche” zaczynały odzywać się głosy: „Was ist los, warum wir stehen so lange?” (co się stało, dlaczego tak długo stoimy), ale żaden z bohaterów nie odważył się wyjść z wagonu. Na stacji w dalszym ciągu trwa absolutna cisza, tylko od czasu do czasu słychać gwizdanie parowozu pociągu z wojskiem, stojącego pod semaforem, upominającego się o wolną drogę. Żołnierze AK wykonali już trzy zasadnicze problemy. To znaczy: unieruchomili personel stacji, maszynistów na parowozie oraz kierownika pociągu. Teraz musi odbyć się najważniejsza akcja: dostać się do wagonu więźniarki idącej w końcu pociągu. Kilku żołnierzy AK otoczyło wagon oczekując sposobnej chwili, aby dostać się do środka. Niedługo czekali, bo jeden konwojent, który niebacznie wyszedł z wagonu, leżał już zakrwawiony na peronie, ale pozostali trzej zabarykadowali się w środku. Dwa granaty wrzucone przez okienko do przedziału gestapowców zakończyły definitywnie sprawę. Jednocześnie rozległo się kilka strzałów z wagonów „Nur für Deutsche”, ale serie z pistoletów maszynowych szybko uspokoiły pasażerów tych wagonów. Przez rozwalone drzwi więźniarki wybiegło na wolność 49 więźniów, którym dane było polecenie, aby uciekali w stronę stacji, gdzie oczekują na nich trzy ciężarowe samochody. W każdym samochodzie byli przebrani w mundury niemieckie akowcy władający językiem niemieckim, aby mogli pozorować konwojentów. Samochody te po załadunku przejeżdżały obok stojącego pod semaforem pociągu z wojskiem w odległości dosłownie 10 metrów. Dwóch z uciekających więźniów zmyliło kierunek i uciekło do lasu, z których jeden znalazł się we wsi Skorupy (3 kilometry), a drugi w Sępochowie (5 kilometrów odległości). Dostali cywilne ubrania od ludności. Podczas obopólnej strzelaniny żołnierze AK głośno wołali do pasażerów jadących tym pociągiem, aby nigdzie nie uciekali, a raczej chowali się pod wagonem, bo oni tylko strzelają po wagonach niemieckich. Nie-

siety, jadący tym pociągiem Toporowski — mieszkaniec Kołbieli zlekceważył to ostrzeżenie, a jechał z synem, którego wykupił z Majdanka. Uważał, że właśnie w wagonach niemieckich będzie bezpieczny. Gdy otworzył drzwi wagonu, Niemcy myśląc, że to partyzant, zastrzelili mu syna, którego wiozł do domu. Podczas strzelaniny ja cały czas byłem ze swoją rodziną w domu, w odległości 10 metrów. W pewnym momencie dwie kulki z automatu niemieckiego świsnęły w pokoju, pół metra nad łóżkiem gdzie spali moi synowie. Oczywiście zerwałem ich zaraz z łóżka i położyłem wszystkich na podłodze za kaflowym piecem, z drugiej strony. Cała akcja odbicia więźniów w Celestynowie trwała około 40 minut. Po jej zakończeniu włożyłem czerwoną czapkę dyżurnego ruchu, aby zmienić szokowanego dyżurnego ruchu Naumczyka, a po wtóre ja, znając język niemiecki przedtem dam sobie w tej sytuacji radę. Uciekać nie było sensu, bo byłbym całkowicie spalony. Gdy przyszedłem do biura zastałem już chodzącego normalnie Naumczyka, któremu akowcy przykazali przed odjazdem ze stacji, że jeszcze pół godziny ma leżeć na podłodze. Najgorzej był wystraszony zawodowca Brzeziński i ucieszył się, że przyszedłem, bo on sam przez cały czas okupacji uczył się języka niemieckiego, ale nigdy go nie mógł dobrze opanować. W trudnych sytuacjach ja zawsze byłem potrzebny jako tłumacz. Aparaty telegraficzne oraz telefoniczne zastałem całkowicie zniszczone, tak, że po stojący pod semaforem pociąg wojskowy posłałem pracownika z rozkazem szczególnym, pozwalającym na wjazd na stację przy zamkniętym semaforze. Po wejściu pociągu towarowego wyprawiłem ten nieszczęsny pociąg osobowy z wrakiem więźniarki na koniec pociągu. Niemcy w pociągu zachowywali się bardzo spokojnie, bojąc się poruszać po terenie ciemnego peronu. Obydwa pociągi: towarowy do stacji Zabiełki i osobowy do Otwocka wyprawiłem na skutek braku łączności na podstawie specjalnego druku, pisząc, że stacja Celestynów wyprawi pociąg nr 932 i oczekuje pociągu z Otwocka. Około godz. 3 przyjechali do Celestynowa instruktor z Otwocka oraz żandarmeria, ale żadnych represji nie czyniła. Były tylko spokojne pytania. Łączność telefoniczna i telegraficzna została przywrócona dopiero w godzinach popołudniowych, po całkowitej wymianie aparatów. Żadnych represji ani aresztowań w związku z tą akcją w Celestynowie nie było. Niemcy prawdopodobnie mieli bardzo dobry wywiad, jaka to organizacja brała w tym udział i skąd przyjechali. (cdn.)

WŁADYSŁAW ŚWIĘCH

Mikołaj - Ryba (v)

To uprzywilejowanie przez los wydać się musi o tyle szczególne, zwłaszcza z potocznego, zdroworozsądkowego punktu widzenia, że próbę poznania tajemniczej, ponadzjawiskowej sfery bytu przypłaca ostatecznie Schillerowski nurek śmiercią. Motywacją jego dwukrotnego zejścia w głąb Charybdy jest zawsze bezinteresowność: za pierwszym razem niczym nieograniczona odwaga i śmiałość, za drugim razem rycerska chęć zmanifestowania miłosnego uczucia wobec królowej stanowią dominujące motywy postępowania; złoty puchar, do którego za drugim razem dołącza jeszcze król pierścien z drogiego kamieniem, to sfera motywacyjna, która zachowania nurka absolutnie nie tłumaczy, a charakteryzuje co najwyżej postawę samego króla. Trzeba przy tym podkreślić, że bezinteresowność bohatera Schillerowskiego ma przede wszystkim charakter poznawczy i stawia w centrum uwagi wszystkich uczestników zdarzenia tajemnicę metafizyczną, kryjącą się w otchłannych, niedostępnych przestrzeniach morskich głębin. W swym opisie Charybdy wykorzystuje Schiller tradycję „Odysei” Homera i animuje morską otchłań, przedstawiając ją jako gigantycznego, mitologicznego potwora. Podwodny świat otrzymuje też wyraźną kwalifikację o moralnym i eschatologicznym charakterze: określony zostaje kilkakrotnie jako piekło, kraina mroku i śmierci, strefa zakazana dla śmiertelnych (nurek Schillera dołączałby więc do grona tych mitologicznych i literackich bohaterów, którzy zwiedzili za życia krainę potępionych). Nade wszystko jednak sięga Schiller do Kirchera i przedstawia podwodne przestrzenie jako świat spowity niemal zupełnymi ciemnościami, pełen kłębiących się nieustannie prądów i wirów o strasznej sile, obfitujący w potwory i poczwary (młot, rąja, rekin, hieną morską czyli ludojad), porośnięty krzewami koralowymi. Zbieżności z relacją Kirchera dają się też obserwować w sferze fabularnej. Po zejściu pod powierzchnię wody nurek dostaje się pod wpływ niesłychanie silnych prądów, które pchają go w różnych kierunkach, ku skalistemu dnu i w górę, aż wreszcie zdoła się bohater uchwylić koralowego krzewu, w jego zaś gałęziach znajdzie nieoczekiwanie złoty puchar, którego poszukuje. Po chwili nurek spogląda

w dół, w mroczną otchłań, w której na pewno poniósłby śmierć, gdyby poszukiwał tam pucharu:

„W ciemność, krwawymi koralami gwiazdną
I pogrążona wśród wieczystych głuź,
Tam, za zasłoną nieodgadnych mroków,
Sto się ruszało stwór, piekielnych smoków.
I tłum tych poczwara wolno się wyraża,
Jak gdyby ktoś ich ciała spletał w kłęb:
Tu młot zariocznny, tam okrutna rąja,
Stąd rekin ostry pokazuje ząb,
A stamtąd grozi paszczą, pełną piany,
Ludojad, hieną morską nazywany.

(.)

Sięgają po mnie lepkimi uściskami
I otwierają paszczą łakomy krag,
Aż zdjęty wstrętem i szaleństwa bliski,
Wypuszczam koral ze struchlałych rąk...
I znowu wiry zakręca się biesie,
A jeden, zbawczy, do góry mnie niesie”.

Jak się wydaje, w balladzie Schillera mamy do czynienia z zaakcentowaniem tych aspektów metafizycznego czy religijnego przeżycia, które eksponował później w swej książce „Świętość” Rudolf Otto. Podobny świat kryje w sobie tajemnicę, numinosum, coś z gruntu niepoznawalnego, coś, co „jest siłą, która oddziaływała na człowieka, napawała go przerażeniem i lękiem, a równocześnie pociągała go i zniewala”. Nurek wdzierając się w sferę tajemniczą i niedostępną i jego przeżycie wyróżniać się zdaje wyraźną przewagą stanów emocjonalnych, subiektywnych nad poznaniem ujmowalnym w logiczne, racjonalne pojęcia. Doznanie podstawowe, jakie wzbudziły w bohaterze morskie głębin, można określić jako „uczucie misterium tremendum, tajemnicy pełnej grozy”; strach, przerażenie, upiorny lęk to tylko przybliżone, naturalne odpowiedniki tego specyficznego uczucia, jakie wywoływane jest — zdaniem Otto — przez przedmiot numinotyczny, przez niedostępną nam sferę ponadzjawiskową: uczucie to „może wydobyć się z duszy nagle i mogą mu towarzyszyć wstrząsy i konwulsje (...), ma swoje dzikie i demoniczne formy. Może sprowadzić się do niemal upiornych dreszczy i ciarek. Ma swoje nieokrzesane i barbarzyńskie przejawy i stopnie przygotowawcze”. W czeluściach Charybdy kazał Schiller szukać swemu

bohaterowi tych tajemniczych, irracjonalnych pierwiastków, które — jak wówczas sądzono wbrew racjonalizmowi i empiryzmowi oświeceniowemu — przenikają otaczający nas świat i decydują o nim w istotny sposób.

Przekazy o Mikołaju Rybie mogły też zainspirować Juliusza Verne’a do wykreowania postaci Kapitana Nemo, samotnika żyjącego na dnie morza. Pisze na ten temat Zofia Drapella: „(...) ludzie-ryby zawsze byli tematem pobudzającym wyobraźnię. Nie oparł się temu i Juliusz Verne, stwarzając w swym Kapitanie Ne-

mo postać Mikołaja, fenomenalnego nurka-rybę. Verne, zawsze starannie przygotowujący się do pracy nad każdym tematem, sięgnął zapewne do starej średniowiecznej legendy o Mikołaju Rybie (Colas Pesce), prawdopodobnie Sycylijczyku i wspaniałym nurku, który wolał przebywać w morzu niż na lądzie, w wyniku czego, jak o tym mówią XII- i XIII-wieczne źródła, ciało jego zmieniło kształt, a nawet i twarz stała się sina i pokryta łuskami”.

MARIAN SŁIWIŃSKI

DEMOGRAFIA

Trzy fale historii (II)

Przyrost naturalny na tych ziemiach był również wyższy od średniego przyrostu naturalnego całych Niemiec. Zwraca uwagę fakt, że prowincje zamieszkałe w przeważającej części przez ludność polską miały najwyższy przyrost naturalny.

„Najsilniejszą broń ekspansji narodowej stanowi dla mniejszości polskiej olorzymia nadwyżka urodzeń, jaką wykazują polskie rodziny” — oto opinia wyrażona przez gestapo we Frankfurcie n. Odrą w roku 1937 na temat mniejszości polskiej.

Nadwyżki ludności na tych terenach nie znajdowały możliwości zatrudnienia ani w rolnictwie, ani też w przemyśle, który nie wykazywał tendencji rozwojowych. Ludność zmuszona była do emigracji i to w tym więc większym stopniu, im wyższy na danym terenie był udział wielkich gospodarstw rolnych.

„Kraj wydaje na świat więcej ludzi niż wynoszą istniejące możliwości zatrudnienia, co powoduje ucieczkę ze wsi „Landflucht”, ruch na zachód do miast i do przemysłu, to zaś z kolei powoduje uby-

tek ludzi we wschodnich prowincjach” — pisał niemiecki uczoney T. Kritzler.

W rezultacie coraz silniej odczuwać się zaczęły w Prusach głosy wskazujące, iż stan aktualny grozi Niemcom utratą obecnych polskich Ziemi Zachodnich i Północnych. Tak np. w nacjonalistycznym czasopiśmie niemieckim „Die Ostdeutsche Heimat” ukazał się w roku 1931 artykuł, w którym czytamy: „W artykule wstępnym nowego periodyku „Der Hochwart” (Eisenach) prof. dr K. Haushofer nazywa tę ucieczkę (900 000 Niemców z „Kraju Wisły” — czyli Polski, po I wojnie światowej — E. M.) czwartą z kolei, największą, powojenną migracją na świecie, najbardziej brzemiennej w skutki stratą, jaką poniosło pogranicze Niemiec, niesłychanie wzmagającą silny już uprzednio pęd na zachód i do miast. Liczy się z tym długofalowa polityka polska, jako z czynnikiem, który, nawet bez wojny i między-narodowych wysiłków, nieuchronnie odda polskiej sile rozrodczej i polskiemu osadnictwu kraj leżący poza Odrą. Największe niebezpieczeństwo dla wschodu niemieckiego wynika z niemieckiej niezdolności

zasiedlania ubogich w ludność niemieckich prowincji nadgranicznych wierzący, że w przyszłość i przywiązani do ziemi osadnikami, z antropogeograficznej różnicy poziomów, która występuje między obszarem zamieszkałym przez zniechęconych do pracy na roli ludzi, w liczbie 27—40 na 1 kilometr kwadratowy, a obszarami przeludnionymi, jak posiadającą gęstość zaludnienia do 150 mieszkańców na 1 kilometr kwadratowy Polska zachodnia czy czeski klin pod Waldmünster”.

Dalej autor stwierdza, że wspomniany problem poruszył w Dreźnie w 1930 r., w czasie kolegium poświęconego sprawom polityki osiedleńczej, wydawca „Volk und Raum”, prof. dr Johannes Dierkes, mówiąc: musimy osiedlić nowych ludzi na wschodzie, tam, gdzie narody wschodnie, Polacy i Litwini, posiadające wielką energię witają prą napróżd. W przeciwnym razie za lat dwadzieścia Łaba będzie wschodnią granicą Niemiec...”.

W 1927 r. na zjeździe rewizjonistycznego Niemieckiego Związku Wschodniego („Deutscher Ostbund) w Stargardzie nad Iną, znany historyk Pomorza Zachodniego prof. Martin Wehrmann wygłosił referat pod znanym tytułem „Niebezpieczeństwo polskie na Pomorzu Zachodnim w przeszłości i teraźniejszości”, w którym m. in. stwierdził: „musimy... mieć oczy otwarte i nie bagatelizować polskiego niebezpieczeństwa”.

Przewodniczący rady miejskiej w Szczecinie, dr Ahrens, mówił w roku 1923: „my, Pomorzanie, staliśmy się mieszkańcami Marchii Granicznej. I dlatego nie chcemy, i nie wolno nam, zamykać oczu na niebezpieczeństwo, jakie od posuwającej się napr.ód Słowiańszczyzny zagraża naszemu niemieckiemu Pomorzu”.

W tym samym czasie landrat bytowski, von Wolff, pisał o „statym słowiańskim zagrożeniu Wschodu”, zaś dr Ramm w artykule „Siedlungspolitik im deutschen Osten” prorocze..., że za kilkadziesiąt lat zniknie kwestia „korytarza” i powstanie wówczas dla Polski kwestia Odry.

Alfred Berger, dyrektor szczecińskich towarzystw portowych twierdził, że szczególne niebezpieczeństwo dla niemieckiego panowania na Pomorzu Zachodnim stanowią „polscy robotnicy sezonowi, których dzisiaj należy uważać nie tylko za niezbędnych naszemu rolnictwu robotników, lecz również za nosicieli polskich żądań nacjonalistycznych”.

Podobnie ocenił na tyw polskich robotników rolnych landrat słupski Dombois,

mówiąc o okresie międzywojennym, że „są już tutaj (na Pomorzu Zachodnim — E. M.) przednie straże polskiej inwazji, w postaci obcej, nowej, niższej warstwy robotników — Polaków”.

Wspomniany już landrat bytowski von Wolff, mówiąc o wyludnieniu się Pomorza Zachodniego i dysproporcji między wzrastającą gęstością zaludnienia Polski a niedostatecznym i malejącym zaludnieniem Pomorza Zachodniego, stwierdził: „ta dysproporcja musi kiedyś doprowadzić do wdarcia się Słowiańszczyzny. Jeśli nie zmienimy swej pasywnej polityki i tolerowania wyludniania się wschodu, będziemy musieli z największą troską patrzeć w przyszłość”.

W cytowanej pracy zaś dr Ramm pisał: „określa się, i słusznie, naród niemiecki jako naród bez przestrzeni. Nie przeszkadza to temu, że w obrębie naszych granic znajduje się już przestrzeń bez narodu — rolniczy wschód”.

Podobnie landrat słupski Dombois: „także w życiu narodów obowiązuje fizyczne prawo wyrównania ciśnienia”. Pewien polski polityk wyraził tę myśl w następujący sposób: „nie jest możliwym, aby w sercu Europy, w kraju między Odrą i Wisłą, leżał obszar o tak minimalnej gęstości zaludnienia, jakiej poza tym nie ma żaden obszar ziemi uprawnej na tej części kuli ziemskiej”.

Sformułowań tego typu można znaleźć wiele w publicystyce niemieckiej okresu międzywojennego. Mnożenie cytat nie wyjaśnia jednak celowe, mimo że chodzi o wypowiedzi naukowców i ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska w życiu publicznym ówczesnych Niemiec.

Dokumenty, z których pochodzą powyższe cytaty, znajdują się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Szczecinie.

Sądzę, iż tych kilka informacji i refleksji związanych z wyimaginowanym „polskim niebezpieczeństwem” — pozwoli lepiej zrozumieć zarówno istotę, jak i przebieg społeczno-ekonomicznego procesu trwającego podówczas na „niemieckim Wschodzie”, a znanego jako „ucieczka ze Wschodu i ucieczka od ziemi” (Ost-u. Landflucht). Nawiasem mówiąc, proces ten oglądany w szerszym kontekście lepiej pozwala zrozumieć swoistą „tragédię” niemieckiego imperializmu: zawsze był on (i jest) zbyt słaby demograficznie, biologicznie, jak na swoje apetyty i żarłoczność... (cdn)

ROMAN MĘCLEWSKI

LOTNICZE OPowieści

Jak balon nauczył się wojować

Kiedy bracia Joseph i Etienne Montgolfier przeprowadzili próby nad papierowymi balonami wypełnionymi gorącym powietrzem, a szczególnie gdy 21 listopada 1783 r. wzniesli się w powietrze jedwabnym balonem dwaj śmiałkowie Pilatre de Rozier i d'Arlandes aby przelecieć nad dachami Paryża — wojskowi doszli do wniosku, że ten wynalazek może być bardzo przydatny w warunkach działań wojennych.

Szczególną uwagę zwrócono na drugiego wynalazcę profesora Aleksandra Charlesa, który powłokę balonu wypełnił wodorem, gazem czternastokrotnie lżejszym od powietrza i po kilku próbach, 1 grudnia, 1783 r. wspólnie z panem Robertem wzniesli się na wysokość 2900 m pokonując odległość 60 km. Teraz stratedzy byli przekonani, że balon może dać armii wprost nieocenione usługi w wykrywaniu pozycji, ruchów i miejsc koncentracji nieprzyjaciela. Balony nazwane od nazwisk twórców montgolfierami i szarlierami miały ogromne zalety ale również i wady. W montgolfierach ograniczone powietrze szybko stygło, dlatego aby temu przeciwdziałać instalowano w gondolach podgrzewacze i zabierano spory zapas paliwa. Szarlierom z powodu wodoru groziła stale eksplozja, której skutki łatwo przewidzieć. A jednak pomimo groźby katastrofy balon zaprojektowany przez Charlesa a wykonany przez braci Robert był doskonałszy od montgolfiery de Roziera i D'Arlandes'a.

Powłokę balonu uszyto z impregnowanego materiału, na który nałożono siatkę — to właśnie ona utrzymywała gondolę. W górnej części powłoki znajdowała się kłapa do wypuszczenia gazu, gdy aeronauta zdecydował się na lądowanie. W gondoli był spory zapas balastu (woreczki z piaskiem) wyrzucanym na zewnątrz gdy chciano pokonać większe odległości oraz barometr rejestrujący aktualną wysokość lotu. Zaiste, balon, który istniał kilka miesięcy osiągnął pełną dojrzałość. Tym większa chwała dla twórcy profesora Aleksandra Charlesa, że pomimo upływu lat, a minęło ich ponad dwieście, niewiele

się różni od eksploatowanych obecnie.

Wróćmy jednak do wieku osiemnastego. Był rok 1794. Wojska młodej Republiki Francuskiej walczyły z obcymi wojskami, które wkroczyły do kraju. Jakobini gorączkowo szukali możliwości odparcia wroga. Maksymilian Robespierre podpisał zarządzenie Komitetu Ocalenia Publicznego powołując do życia formacje wojsk balonowych. W kwietniu 1794 r. przystąpiono do tworzenia kompanii balonowej. Dowodzący został kapitan Jean Constelle, jako podkomendnych miał jednego porucznika i dwudziestu sześciu szeregowców. Kompania posiadała balon o nazwie „L'Entrepreneur” („Przedsiębiorczy”). Naturalnie rolę pierwszego obserwatora pełnił kpt. Jean Constelle. Napelniony wodorem balon, trzymany na dwóch linach wznosił się na odpowiednią wysokość, to znaczy na taką gdzie był poza zasięgiem kul karabinowych oraz pocisków artyleryjskich wroga. Każdy ruch wojsk, próby skrytego manewru niweczyły jego meldunki pisemne, opuszczane z gondoli balonu na sznurku w koszyku, błyskawicznie dostarczane dla francuskich dowódców. W ten sposób balon został na dobre zmobilizowany. Wkrótce sformowano drugą kompanię tworząc batalion pod dowództwem dzielnego kapitana Constelle.

Rozpoznania prowadzone tą metodą przyczyniły się w ewidentny sposób do zwycięstwa pod Fleurus, a w 1795 r. balon obserwacyjny był używany w oblężeniu Moguncji. Jednak gdy Bonaparte prowadził kampanię egipską — oddziały balonowe nie spełniły pokładanych nadziei. Dlatego w 1799 r. zostały rozwiązane i opuściły szeregi wojska.

Mijały lata, odnajdujemy zastosowanie w wojsku balonów dopiero w 1849 r. Gdy Austriacy oblegali Wenecję wpadli na iscie szatański pomysł: Do papierowych montgolfier przymocowali bomby i korzystając ze sprzyjającego wiatru wiejącego w kierunku miasta wypuścili kilkaset balonów-bombowców. Bomby samoczynnie się odczepiały od balonu (po przepaleniu linek, którymi były przymocowane) i wybuchały w miejscu upadku

po spaleniu się lontu. Na szczęście dla weneccjan wiatr się zmienił i zaledwie kilka spadło na miasto — zresztą nie czyniąc większych strat. Lecz to pierwsze w dziejach bombardowanie wywarło na mieszkańcach Wenecji olbrzymie wrażenie.

Balony obserwacyjne spotykamy w bitwie o zjednoczenie Włoch pod Solferino w 1859 r. Właśnie tam Feliks Nadar wykonał pierwsze zdjęcia fotograficzne z powietrza. Są również na polu bitwy w wojnie argentyńsko-paragwajskiej w 1862 r. w walkach pod Portero de Paris, gdzie aeronautą był... pułkownik Robert Chodasiewicz.

W trakcie wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przy przekraczaniu rzeki Rappakannock bierze udział również Polak Tadeusz Sobieski-Lowe, twórca pierwszego amerykańskiego oddziału balonowego. Należy zwrócić uwagę, że wtedy balon staje się bardzo ważnym instrumentem szybkiego rozpoznania i stosuje się go coraz częściej w działaniach wojennych. W czasie oblężenia Richmond w dyspozycji gen. Mac Clellana znajdowali się aeronauci Lamontel i Allan, którym udało się sfotografować z balonu rozlokowanie wojsk południowych. Tam również z powodzeniem zainstalowano w celu szybszego przekazywania wiadomości urządzenie telegraficzne. Zaczęto stosować również inną metodę rozpoznania. Wykorzystywano wolne balony, których przelot nad wojskami nieprzyjacielskimi stwarzał możliwość głębokiej penetracji pozycji sił konfederacji, których dowódcy musieli starannie maskować własne wojska.

W tych latach balon nie tylko służył rozpoznaniu. W oblężonym przez Prusaków Paryżu (1870—1871) był dla miasta jedynym środkiem komunikacji i łączności z resztą Francji. Na dworcu Gare du Nord powstała fabryka balonów, gdzie zbudowano i dokonano startu 68 balonów, zawsze nocą — dla zwiększenia bezpieczeństwa. W ten sposób opuściło Paryż 163 osób, wywieziono z miasta 3 miliony listów oraz 400 gołębi, które w łączności i rozpoznaniu odegrały doniosłą rolę. Trudno uwierzyć, lecz dzięki zastosowaniu, po raz pierwszy, mikrofilmów — 57 gołębi przyniosło do stolicy ponad sto tysięcy ważnych wiadomości.

A balony? Leciały tam gdzie wiatr je zaniósł. Lądowały we Francji, część wpadła w ręce Prusaków, kilka doleciało do Holandii i Belgii, dwa utonęły w morzu, a jeden miał rekordowy przelot, bo aż do Norwegii. Jednak powszechne zastosowanie balonów nastąpiło w drugiej połowie XIX wieku.

Balon trafia do Afryki Południowej w czasie wojny burskiej (1899—1902) oraz wojny rosyjsko-japońskiej, na przełomie

1904—1905 r. W tym okresie zaczyna się produkcja balonów o zmienionym kształcie. Budowę podłużnych balonów zapoczątkowali Niemcy w 1896 r. Powodem zmian konstrukcyjnych było to, że balon kulisty nie trzymał się spokojnie na stałowej linii. Przy niedużych nawet podmuchach wiatru, pochylał się w kierunku wiatru — aby się za moment wyprostować. Gdy siła wiatru rosła, wał się, więc były gwałtowne o dużej amplitudzie przez co trudne do wytrzymania dla załogi. Starano się to zniwelować przez zawieszenie kosza na poziomej belce, mocowanej do sieci sznurowej okrywającej balon. To pomagało, lecz nowy, aerodynamiczny kształt balonu ustawiony pod odpowiednim kątem trzymał się stabilnie w łozu wiatru nawet przy prędkości do 15 metrów na sekundę.

Balony tego typu o nazwie „Parseval-siegefeld Drachen” zaczęto masowo stosować w czasie I wojny światowej przez wojska pruskie. A że wojna nabrała charakteru działań pozycyjnych, również po drugiej stronie frontu pojawiły się balony o podobnych walorach, między innymi, balon francuski Gaquot — R. W sumie po obu stronach frontu było pięć tysięcy balonów obserwacyjnych. Unosiły się na wysokości od 1200—1500 m, obserwatorzy zaopatrzeni w lornetki mieli możliwość penetracji terenów wroga na odległość do 15 km. Wyszukiwali pozycje artylerii i posługując się telefonem korygowano ogień własnej artylerii w celu zniszczenia stanowisk przeciwnika. Jednak bardzo szerokie perspektywy rozwoju rozpoznania powietrznego pojawiły się z chwilą kiedy samolot coraz skuteczniej zaczął wypierać stosowane dotychczas balony. I to w sposób wyjątkowo brutalny atakując i zestrzeliwując je nad linią frontu.

Wydawałoby się, że wiszące w bezruchu mają znikomą szansę obrony przed lotnikami. Jednak zawsze w pobliżu znajdowało się stanowisko przeciwlotniczych karabinów maszynowych, które natychmiast otwierały ogień do zbliżającego się samolotu. Wykonano bardzo sprawne ściągaraki balonowe, które w szybkim tempie sprowadzały balony na ziemię, odbierając możliwość wykonania ataku.

Wielokrotnie stosowano pułapki zostawiając jeden z balonów na wysokości. Ten nie miał w koszu obserwatora lecz potężny ładunek wybuchowy. Gdy pilot zbliżył się, chcąc otworzyć ogień — odpalano z ziemi ładunek wybuchowy powodując eksplozję, niszczącą balon oraz samolot nieprzyjacielski. Samoloty jednak coraz częściej zestrzeliwały balony obserwacyjne. Z reguły stosowano dwa sposoby, pierwszy polegał na stosowaniu w karabinach maszynowych pocisków zapalających — powodujących wybuch wodo-

ru w powłoce balonu. Drugi sposób był na owe czasy bardzo wyrafinowany. Francuzi w 1916 r. zastosowali rakietę zapalającą typu „Le Pieur” montowaną na myśliwcu „Nieuport”. Samolot posiadał osiem rakiet montowanych po cztery między skrzydłami na zastrzałach. Startowały z wyrzutni prętowych — miały bardzo mały zasięg bo zaledwie 120 m. Później stosowano inny rodzaj rakiet do zwalczania balonów, mianowicie przy przednich krawędziach płatów umieszczono rury, w których były rakiety wyposażone w groty o ostrych hakach powodujące rozdarcie powłoki balonu. Pilot gdy zbliżał się do celu wstrzeliwał się pociskami smugowymi, aby po skorygowaniu ognia odpalić jednocześnie wszystkie rakiety.

WIELKI REJS BIAŁEJ FREGATY

AUSTRALIJSKA PRZYGODA ŻAGLOWCÓW

Tall Ships Australia 1988 będzie jednym z najważniejszych wydarzeń w obchodach dwustulecia kolonizacji europejskiej najmniejszego z zamieszkałych kontynentów.

Udział i wzajemne wizyty na pokładach statków członków młodych załóg pogłębia przyjaźń, zrozumienie i znajomości między ludźmi na całym świecie.

Jubileusz daje Australii także wielką szansę ukazania swych tradycji morskich, poprzez ugoszczenie statków żaglowych z całego świata.

Australijskie dwustulecie, to rocznica przybycia na kontynent w 1788 roku pierwszych osadników europejskich. Od niego zaczęła się wielka era żeglugi na południe. Właśnie żaglowce zapewniły młodej społeczności kontynentu przetrwanie — dowoziły nowych osadników i transportowały w obie strony towary, w tym produkty australijskie, co dawało pewien poziom życia osiadłym tu ludziom.

Oczywiście, wiemy doskonale, kim byli pierwsi Europejczycy na tej ziemi i czym była ta ziemia dla Imperium Brytyjskiego. Telewizyjny serial „Pod wiatr” stanowi autentyczną kronikę tamtych czasów, lecz dziś Piąty Kontynent dawno przestał straszyć widmem egzystencji zesłańca, a zaczął przyciągać ludzi swymi urokami.

Dziś Australia jest celem dla bardzo wielu szkolnych żaglowców z całego świata. Te wielkie, ostatnie już istniejące statki stanowią dla młodzieży twarzą szkołę życia w dyscyplinie, współpracy i wierze we własne siły. Morze, mimo wszystkich zdobyczy techniki, nie stało się ani odro-

I tak kończy się historia balonów obserwacyjnych, które przegrały z szybkimi zwinnymi samolotami. Były jeszcze w użyciu po Rewolucji Październikowej, kiedy z inicjatywy W. I. Lenina utworzono oddziały aeronautów. Brały udział w bitwie pod Czarczynem i Kamaszynem. Współpracowały z pociągami pancernymi. Jeszcze pojawiają się w okresie międzywojennym zmieniając kształt i zastosowanie.

W czasie II wojny światowej stają się balonami zaporowymi, skutecznie broniąc miasta, obiekty przemysłowe, wielkie desanty alianckie. Ale to już całkiem inna historia.

RYSZARD WITOLD HRYNIEWICZ

binę mniej wroga dla człowieka. Wielkie rejsy na południe będą dla wielu załóg licznych żaglowców surowym egzaminem.

U celu ich podróży będą oczekiwali gospodarze, by przedstawić młodzieży z całego świata swój kraj i życie w nim. Młodzi Australijczycy wypłyną na spotkanie gości na pokładach żaglowców, pływających pod ich banderą, a niektórzy z nich znajdą się na pokładach statków spod innych flag.

Tytułową przygodą australijską będzie dla załóg wielkich, pływających jeszcze żaglowców wizyta w portach kontynentu.

Żaglowce, płynące przez Ocean Indyjski, przed zbiórką w Hobart na Tasmanii, zawiną do Perth bądź Fremantle, Adelaide i do Melbourne. Statki przemierzające Pacyfik w drodze do stolicy Tasmanii zawitają do Brisbane lub Melbourne.

19 stycznia przyszłego roku nastąpi start do regat z Hobart do Sydney. 26 stycznia w Sydney żaglowce wezmą udział w wielkiej paradzie z okazji australijskiego Święta Narodowego, którą zakończy Operacja Zaciół „Australia 1988”.

Trzeciego września 1987 roku opuścił Gdynię nasz nowy żaglowiec szkolny „Dar Młodzieży”. Również w 52 lata po ukończeniu wielkiego rejsu wokół świata przez słynny, poprzedni „Dar”¹⁾, nasza Biała Fregata ruszyła śladem „Daru Pomorza” na Wielki Krąg.

„Dar Młodzieży” jest młody, ma ledwie pięć lat. Jego słynny poprzednik też odbył swój wielki rejs wkrótce po wejściu pod biało-czerwoną banderę.

Rejs nowego „Daru” nie jest już pierwszym w dziejach bandery rejsu wokółziemskim — ale po raz pierwszy w podróż taką ruszył wielki pełnorejowiec zbudowany w Polsce!

Statkiem dowodzi kapitan Z. W. Leszek Wiktorowicz. Stu kilkudziesięciu ludzi płynie do Australii, by wziąć udział w zlocie żaglowców, i potem powrócić do Europy przez Pacyfik i wokół Przylądka Horn. Stary „Dar”, jak pamiętamy, ruszył w swą najdłuższą podróż na zachód, jego następca zaś odbędzie ją w kierunku wschodnim i znacznie szybciej; DP potrzebował niespełna roku czasu, zaś DM zamierza zameldować się w Gdyni już po dziewięciu miesiącach od dnia jej opuszczenia!

Rzecz jasna, nasz pełnorejowiec nie będzie jedynym uczestnikiem Operacji Zagiel. Prócz niego, w portach Piątego Kontynentu zapowiedziały się liczne statki z piętnastu krajów. Nasz „Dar” spotka się z kilkoma starymi znajomymi, jak amerykański bark trójmasztowy „Eagle”, stary rywal „Daru Pomorza” — bark „Gorch Fock” z RFN, nowy japoński czteromasztowiec „Nippon Maru”, a także parę jednostek dość egzotycznych, jak choćby „Trotamar III”, jacht pod flagą Andorry (!), „Shabab Oman”, barkentyna z Omanu czy też... szwajcarski jacht „Galateia”.

Australijska Operacja Zagiel, choć nie jedyna, jaką przygotowuje się w świecie²⁾, wejdzie do historii międzynarodowych złołów żaglowców, jako pierwsze spotkanie na południowej półkuli.

Warto przypomnieć, że historia regularnie organizowanych Operacji, to już kilkanaście spotkań na przestrzeni trzech dziesięcioleci.

W 1955 roku prawnik brytyjski, R. Morgan, myśląc o zorganizowaniu zlotu ostatnich na świecie wielkich żaglowców, zabrał się do dzieła — już w następnym roku odbył się taki zlot, połączony z regatami z Tor Bay do Lizbony.

Mało kto dziś już pamięta, że w 1938 roku odbył się w Szwecji, z inicjatywy kapitana Schumburga, zlot szkolnych żaglowców Europy Północnej, i że jednym z najpiękniejszych jego uczestników był stary „Dar”.

Polska, kraj obydwóch „Darów”, organizowała zlot żaglowców w Gdyni w 1974 roku. Niezadługo, bowiem w roku 1992, wielkie statki szkolne znów zawitają do Gdyni — będzie to szansa pokazania się z lepszej strony, niż było to przed trzynastoma laty.

Przed wyjściem w najdłuższy rejs, w czerwcu br., DAR MŁODZIEŻY znalazł się na redzie Ustki, w której odbywały się tegoroczne Dni Morza. Na moło małego potru rybackiego zebrało się wielu ludzi, dla wielu widok tego pięknego statku był pierwszym zetknięciem się z morzem. Inni, uzbrojeni w aparaty fotograficzne, korzystali z okazji i robili zdjęcia. Pogoda była wspaniała.

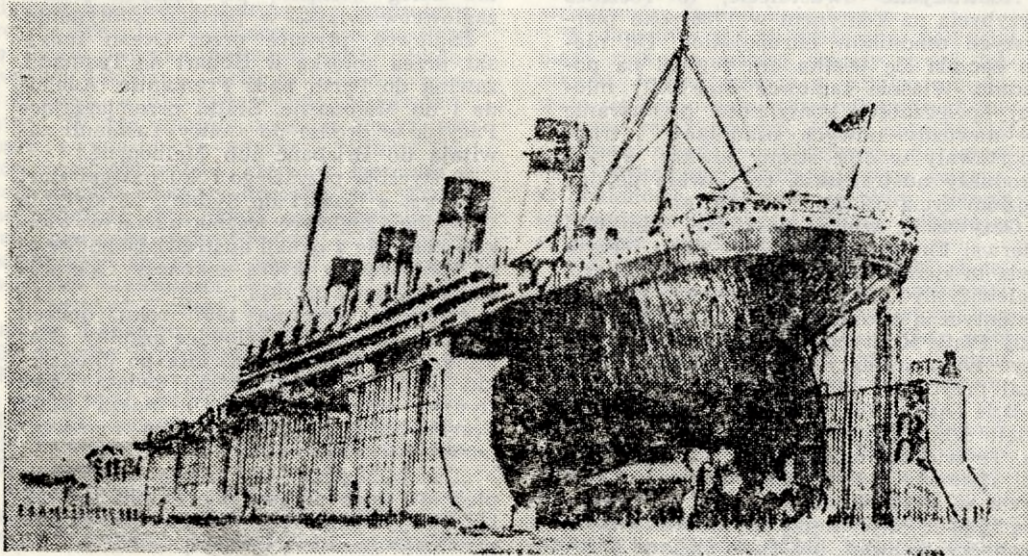
Właśnie z usteckiego moła zrobione zostały w dniu 27 i 28 czerwca zdjęcia, ilustrujące opowieść o „australijskiej przygodzie” DARU i innych wielkich żaglowców.

W.M. WACHNIEWSKI

Przypisy.

1) O poprzednim DARZE można było przeczytać w GRYFIE nr 3/86.

2) Między innymi Skandynawowie przygotowują wspólnymi siłami swoją, bałtycką Operację „Zagiel”.



GRYF - videomanom

Amerykański wojownik

NINJA — tajemnicza sekta wojowników, wyspecjalizowanych w walkach wschodu, płatnych morderców, wynajmowanych w wiekach średnich przez bogatych i biednych. Jak podają źródła powstała ona w 14 wieku i całe lata fakt jej istnienia był bardzo ściśle tajemnicą.

Pojęcie „Ninja” stało się znane za sprawą amerykańskich i japońskich producentów filmowych. Był czas kiedy wytwórnie opuszczały całe serie filmów, w których głównymi bohaterami byli czarno odziani wojownicy sekty. Za pomocą przemysłnych kołców wspinali się na mury, znikali w wybuchach fosforowych kulek, z perfekcją operowali szablą, kijem, mieczem czy nożem. Asortyment narzędzi śmierci jest w ich wydaniu tak bogaty, że może przypisać o zawrót głowy. „Ninja” istnieje i dziś — przynajmniej w wyobraźni filmowych scenarzystów. Jest tak samo ubrany, zabija lub w wyjątkowych okolicznościach tylko obezwładnia przeciwników z taką samą perfekcją. Ale pod potrzeby filmu i publiczności zmienił się jego typ. Z bohatera negatywnego, stał się na wskroś pozytywnym — likwidującym, swoją perfekcją wykorzystującym w obronie słabszych. A przy tym wszystkim, jest skromny, cichy, zamknięty w sobie, skupiony — bo tego wymaga jego sztuka, no i oczywiście przystojny.

Takim typem bohatera jest w „Amerykańskim wojowniku” — Michael Dudikoff — żołnierz amerykańskiej armii, którego los rzucił do fortu Somora na jednej z wysp Pacyfiku, którego przygody zajmują widza przez blisko 90 minut.

Scenariusz tego filmu napisał Paul de Mielche i trafił z nim do spółki Menahen Golan i Joran Globus, specjalizującej się w produkcji kasowych hitów. „Amerykański wojownik” stał się kolejnym z nich.

Michael Dudikoff, jest szeregowcem i kierowcą ciężarówki. Na początku filmu ma mały zatarg z kierowcą dowódcy — pułkownikiem. Sprzeczka między panami przerwana zostaje wejściem dowódcy i jego kruczowłosej córki — przedmiotu uwielbienia i westchnień wszystkich żołnierzy. Konwój z córką rusza przez tropikalny las, aby odwiedzić ją na lotnisko. Po drodze jednak samochody zostają zatrzymane, a ich kierowcy i pasażerowie zaatakowani. Tam po raz pierwszy Michael Dudikoff prezentuje próbkę swoich umiejętności i po wielu perypetiach ratuje córkę swojego dowódcy. Ale to wszystko zajmuje tylko 10 minut filmu, pozostałe 80 — zajmuje rozwiązanie zagadki. Szeregowiec „Ninja” trafia na ślad nielegalnej sprzedaży broni ze swojej jednostki. W aferę zamieszane są wszystkie główne postacie w filmie. Michael Dudikoff zyskuje też po drodze przyjaciół, a największym z nich zostaje murzyn, który wychowując się na ulicy posiada sztukę walki wschodu.

„Ninja” trafia do bazy szajki i w chwili kiedy zawarty ma zostać kolosalny kontrakt rozpoczyna się walka. Finał jest taki, że zamieszany w aferę pułkownik ginie, Ninja jeszcze raz ratuje życie córce pułkownika, zyskuje jej miłość i szacunek, a murzyn popisuje się sprawnością obsługi „bazuki” — wyposażonej w sprzęt elektroniczny i trafia w locie śmigłowca na pokładzie którego próbuje uciekać szajka.

Banałna fabuła, ale cały film ogląda się z dużym zainteresowaniem. Przez 90 minut toczy się wartko, reżyser Sam Firstenberg umiejętnie dawkuje napięcie. Nie ma dłużyzn, niekończących się dialogów, są fajerwerki, masa walk, jest miłość i intryga. Słowem jest wszystko, co potrzebne do sympatycznego spędzenia czasu przed ekranem.

I jeszcze jedno. „Amerykański wojownik” — jest kolejną pozycją, w której amerykańscy filmowcy popisują się umiejętnością kręcenia dramatycznych scen walk. Może tylko dla nich film ten warto obejrzeć.

„Amerykański Wojownik”. Tytuł oryginału „American Warrior”, produkcja USA, reżyseria — Sam Firstenberg, muzyka Michael Lion, zdjęcia — Hanania Baer, w rolach głównych — Michael Dudikoff, Steve James, Judie Aronson.

PIOTR GŁOWACKI

ŻYCIE RODZINNE...

Rozwód

Pamiętam, jak wstrząsnął mną wypadek, który miał miejsce w jednym z polskich miast. Dziewczyna wyskoczyła przez okno. Zabiła się na miejscu. Zostawiła kartkę: „Jeżeli się rozchodzą rodzice, nie mam po co dłużej żyć”.

BOŻENA JAKIMOWICZ

Wolność to nie samowola. To liczenie się ze sobą; z tym co oznacza się w skrócie słowami godności człowieka; to liczenie się z tym, co nazywa się odpowiedzialnością za drugiego człowieka, którym w wypadku rodziny jest nie tylko mąż, żona, ale i dziecko.

Gdy chcemy mówić o dziecku w relacji ojciec-matka, należy zaznaczyć wyjątkowość tego kontaktu, nieporównywalnego z wszystkimi stosunkami międzyludzkimi. Dziecko jest własnością wspólną rodziców. Słowo „własność” jest tutaj słowem stosownym i użytym celowo. Bo tak to jest w odczuciu samego dziecka. Ono po prostu uważa, że należy zarówno do ojca jak i do matki — do nich dwojga. Jak również, w takiej samej mierze, że matka i ojciec należą do niego. To nie jest jakieś stonowisko intelektualne — na to dziecka jeszcze nie stać — ale przekonanie instynktowne. Stąd też dziecko — zwłaszcza w najpierwszym okresie swego życia — powinno być otoczone ze strony rodziców atmosferą czułości. A czułość i ciepło to nie „dobranocki” w telewizji, bajki z taśmy magnetofonowej czy z płyty ani nawet pocałunki, dobre słowa, głaskanie po główce od czasu do czasu, ale atmosfera miłości, w której dziecko ma wzrastać. Tę atmosferę stworzyć może tylko wzajemna miłość rodziców, ich wzajemny szacunek, ich radość z tego, że są razem. A jeżeli tak, to dla psychiki dziecka tym bardziej niebezpieczne, tym bardziej tragiczne są wszelkie zachwiania tego układu. Już spory, właśnie, nieporozumienia. Gniewanie się, „ciche dni” są dla dziecka nie do zniesienia. Dziecko reaguje na takie sytuacje paniką. Przewraca mu się jego normalny świat. Nie rozumie takich zachowań. Nie jest w stanie ogarnąć tego, że tych dwoje, którzy są i być powinni jednym, nagle są sobie obcy, a nawet wroży, nieprzyjaźni.

Wszyscy dobrze o tym wiedzą — to również potwierdza psychologia — że należy dziecko chronić przed przeżyciami, które mogą odbić się niekorzystnie na jego psychice, powinno się je uchronić od wszelkich wstrząsów, bo te pierwsze przeżycia odciskają się na trwałe w psychice dziecka, ważąc na całym jego dalszym życiu. A bywa, że rodzice zachowują się bezceremonialnie z dzieckiem, jakby ich to zupełnie nie obchodziło...

Totalną katastrofą jest rozejście się rodziców. Tu nikt nie dziecku nie wytłumaczy ani wytłumaczyć nie może. Nie jest w stanie przekonać go „na żaden rozum” ani ojciec, ani matka, ani babcia, ani ciocia, bo tu kategorie rozumowe nie odgrywają prawie żadnej roli. Pozostaje tylko bezbrzeżne przerażenie. Jest to tak, jakby ktoś dziecko na polu rozrywał. Najbardziej dotkliwa tragedia, daleko gorsza niż śmierć ojca czy matki.

To bardzo charakterystyczne, że przeważnie sprawy swojego rozejścia małżonkowie załatwiają i rozpatrują między sobą, ze swojego punktu widzenia. Ze rozchodzą się dlatego, iż chcą być szczęśliwi. W tym rozumowaniu, w tych rozmowach czy kłótniach, szczególnie dziecko nie wchodzi w obszar myślowy, nie podlega dyskusji.

Dzieci rodziców rozwiedzionych. Dzieci z rozdartym sercem już na początku swojej drogi życiowej. Dzieci uderzone w najcenniejsze pokłady swojej osobowości. Takie łatwe słowo „rozwód”. A tymczasem trzeba pamiętać o całej otoczce tej małżeńskiej tragedii, w której i dziecko uczestniczy — o już wspomnianych sprzeczkach, kłótniach, znieważaniach, o złośliwościach, docinkach, ironii, drwinie, wyśmiewaniu się,

ponizaniu, o tej całej pogardzie, nienawiści, w której dziecko jest coraz bardziej zanurzane. Trzeba opowiedzieć o sąsiadkach, znajomych, przyjaciółach domu, przed którymi na przemian to jedno to drugie z rodziców wywleka sprawy najintymniejsze. Gdyby tylko na tym był koniec. Dziecko jeszcze usiłuje się za wszelką cenę utrzymać na powierzchni szukaniem odpowiedzi na postawione sobie pytanie: Kto jest wobec tego ten niedobry — mama czy tata? Kto jest wobec tego ten dobry — mama czy tata? Ale i to ratowanie się jest złudne. A gdy jeszcze dziecko zaczyna być włączane, kiedy zaczyna się przeciąganie dziecka na swoją stronę... Jeżeli zaczyna się wywlekać już przed samym dzieckiem rzeczy prawdziwe i nieprawdziwe po to, żeby zdyskredytować drugą stronę, po to, żeby ewentualnie przed sądem, przed ludźmi, przed drugą stroną naświetlić odpowiednio sprawę. A gdy zaczyna się cała akcja przekupywania — od łakoci poczynając, a kończąc na ulgach, ustępstwach, przemykaniach oczu na lenistwo, bałaganiarstwo, niepunktualność, na aroganckie zachowanie się. A gdy dziecko to wszystko rozszyfruje — a rozszyfruje wcześniej niż się tego ktokolwiek spodziewa — samo zaczyna grać i zgodzi się, żeby w jego łaski wkupywał się raz ojciec, raz matka.

Potem ojciec odchodzi ze swojego domu. Ten akt jest poprzedzony rozdziałem majątku. Na oczach zrozpaczonego dziecka dokonuje się wyszarpywanie sobie z rąk telewizora, obrazków, makietek. Wypominanie sobie, co kto wniósł do wspólnego gospodarstwa, a co zostało zakupione z pieniędzy zarobionych w czasie trwania małżeństwa.

Kolejny etap zaczyna się, gdy do domu wchodzi nowy pan, któremu należy mówić „ojcze” — tego sobie życzy mama — albo przynajmniej „wujku”, choć dziecko wie, że to następne kłamstwo, bo ten pan ani nie jest ojcem, ani wujkiem. Potem dziecko widzi, jak mama tuli się do niego, całuje go — tak to robiła z ojcem. Mówi „kochanie”, mizdzy się, śmieje zalotnie. Dziecko się wstydzi za mamę i za siebie. Za siebie — że ma taką mamę. Potem dziecko czuje się coraz bardziej obce w tym domu, gdzie coraz więcej tego nowego człowieka, jego rzeczy w łazience i w szafie, jego sprawy, jego obecności w rozmowach z mamą. W jej staraniu, by były spełnione wszystkie jego polecenia, życzenia, pragnienia, dziecko czuje się zbyt czyste, niepotrzebne w tym domu. Coraz mniej tam miejsca, coraz bardziej wszystko tam obce, a nawet nieprzyjemne. Coraz częściej dziecko stwierdza, że uśmiechy, czułości należą do tamtego człowieka, a dla niego zostają słowa ostre, upominania, nakazy. Tamtemu mama przygotowuje, pierze, układa, ściele, sprząta, gotuje, piecze, a dla swojego dziecka już nie ma czasu, wciąż tylko „zrób sobie sam”, „nie mam do tego głowy”, „jestem zajęta”, „nie mam czasu”. I nawet gdyby tak nie było, i nawet gdyby tak było tylko w części, dziecko rozdygotane, rozdrażnione, przewrażliwione bierze każdy taki szczegół na swoją niekorzyść, odnotowuje skrupulatnie, co otrzymuje ono, a co otrzymuje ten obcy pan. Wszystko potwierdza tezę, że straciło już mamę.

Równocześnie trwają dni odwiedzin — wyznaczone dni tygodnia, ustalone polubownie albo przez sąd, kiedy tata ma prawo przyjść do domu i odwiedzić swoje dziecko, wziąć je na spacer, do kina, do teatru, na wycieczkę. I dziecko teraz tu widzi szansę swojego ratunku — ratunku swojego dzieciństwa, przynależności do swoich rodziców. Tym bardziej, że ojciec jest — przynajmniej na początku — za każdym razem taki odświętny i miły jak tylko czasem bywał w tamtych dobrych latach. Ale na prośby dziecka: „— Tatusiu, zabierz mnie stąd, weź mnie stąd, weź mnie do siebie” — okazuje się, że tatuś już nie jest sam, że jest jakaś pani, która zajęła miejsce przy tatusiu. Z biegiem miesięcy i lat ojciec ma coraz mniej czasu, w którymś momencie oświadcza: „Urodził ci się nowy braciśzek” albo „nowa siostrzyczka”. I teraz dziecko wie, że to była kolejna złuda. Ze teraz nie ma już ani matki, ani ojca.

Dlaczego o tym piszę? Bo sama spotkałam się z takimi rozpadającymi się domami. Rozpadającymi się czasem naprawdę bez powodu. Spotkałam się z takimi dziećmi i widziałam, co się z nimi dzieje, jak zmienia się ich psychikę — od tragedii graniczącej z szaleństwem przez ośpienie i wyłączenie się ze świata, aż po cynizm, przewrotność i agresję w końcu. Piszę więc po to aby uświadomić każdemu, że i od niego zależy czy nie doprowadzi do tragedii rozvodu, który jest przede wszystkim dramatem własnych dzieci. Warto o tym pomyśleć wtedy, gdy małżeństwo funkcjonuje normalnie, ku przestrodze. Gdy dochodzą do głosu emocje, racjonalne argumenty nie mają szans przebicia się przez nie. Wtedy jest już za późno.

BOŻENA JAKIMOWICZ

KRONIKA KULTURALNA

Z KRAJU I ZE ŚWIATA...

■ Na tegorocznym Jazz Jamboree wystąpiło wiele gwiazd, a wśród nich trio Chica Corei, wybitnego pianisty i kompozytora, a także Alice Coltrane, kontynuująca tradycję swojego męża Johna, słynnego saksofonisty zmarłego w 1967 r. Dla wielu fanów gwoździem festiwalu był koncert Art Blakey and Jazz Messengers. Warto przy okazji zapytać, kto jeszcze w Słupsku pamięta jak wygląda koncert jazzowy?

* * *

■ Od 15 do 18 października trwał w Krakowie pierwszy przegląd filmów erotycznych „Ewka 87”. Organizatorem było Studenckie Centrum Kultury UJ „Rotunda”.

* * *

■ W Hollywood Witold Orzechowski ma przenieść na ekran słynną powieść Josepha Conrada „W oczach Zachodu”.

* * *

■ Rada Państwa przyznała honorowe tytuły „Zasłużony dla kultury narodowej”, a wśród odznaczonych znaleźli się tacy twórcy, jak Igor Abramow-Newerly, Roman Bratny, Kazimierz Dejmek, Jan Dobraczyński, Andrzej Kuśniewicz, Stanisław Lem, Krzysztof Penderecki, Stanisław Różewicz, Artur Sandauer, Bogdan Suchoński.

* * *

■ Na XXXIX sesji Międzynarodowego Festiwalu Twórczości Radiowej i Telewizyjnej „Prix Italia” (17–24 IX) w kategorii dokumentu radiowego Prix Italia '87 zdobył hiszpański program „Generacja ryzyka” o strajku dwumilionowej społeczności szkolnej protestującej w Hiszpanii przeciwko reformie edukacyjnej. Drugą nagrodę zdobył dokument węgierski „Wyłącz mikrofon”, przejmująca opowieść o nałogowej alkoholizacji adoptującej dziecko.

* * *

■ Już nie tylko „Dialog”, ale i „Twórczość” została wycofana ze sprzedaży kioskowej. Miesięcznik będzie można nabyć tylko w Klubach Międzynarodowej Prasy i Książki lub w prenumeracie. Odtąd będzie to już pismo dla wtajemniczonych. Dla reszty nowe tytuły: „Pan” i „Top”. W ten sposób został rozstrzygnięty dylemat: czy czytać poezję, czy studiować ogłoszenia. A z lipcowego (500 numeru!) dla czytelników Gryfa takie zdanie Geneta o sztuce: „Mam wrażenie (...), że każda poezja, wiersz, obraz, muzyka, która nie

niszczy siebie, to znaczy nie nadstawia głowy w organizowanej przez siebie kręgielni, jest obłądą”.

* * *

■ POGLĄDY ■ Jerzy Lisowski w „Twórczości” pisze: „Nie możemy dać sobie wydrzeć tego, co jest bezsporną zasługą i dumą socjalizmu — a nie ma przecież ich za wiele — powszechnego dostępu do dóbr kultury, które są i muszą być subwencjonowane przez mecenat państwowy czy społeczny. Tymczasem owa jedyna skutecznie owocująca wartość naszego systemu jest dziś zagrożona. Horrendalne już ceny książek odsuwają je od tych, którzy najbardziej ich łakną — studentów, młodych naukowców, w ogóle młodzieży. A czego się nie przeczyta do dwudziestu, dwudziestu pięciu lat, tego się nie przeczyta już nigdy (...).

■ O kryzysie w polskim teatrze pisze w 4 numerze „Dialogu” Jerzy Koenig: „(...) mamy straszliwą ilość teatrów repertuarowych z nieprawdziwego zdarzenia, teatrów omnibusów. Tymczasem na świecie obserwuje się przeciwną tendencję. Z jednej strony wielkie teatry operowe ze wspaniałym klasycznym repertuarem i światowej sławy wykonawcami, sceny reprezentacyjne, narodowe — w pojedynczych egzemplarzach, z drugiej natomiast — i tych pojawia się coraz więcej — małe, efemeryczne teatry albo wędrujące zespoły aktorskie, które z dwiema walizkami jeżdżą od miasta do miasta, ku zawstydzeniu stałych teatrów miejscowych, które tam także świecą pustkami i pochłaniają olbrzymie dotacje”.

* * *

■ 23 września zmarł w Poznaniu Roman Brandstaetter (lat 81), wybitny pisarz, poeta, dramaturg i tłumacz.

* * *

■ Jeden z najciekawszych dramaturgów współczesnych Jean Anouilh zmarł w wieku 77 lat w Lozannie. Ulubieniec mieszczańskiej publiczności francuskich teatrów. Najbardziej popularne jego sztuki to „Skowronek”, „Antygona”, „Pasażer bez bagażu”.

* * *

■ Wielka wystawa prac Marca Chagalla w setną rocznicę urodzin wielkiego artysty została zorganizowana w Moskwie. W Muzeum Puszkina można obejrzeć około 300 dzieł, a na wernisaż do rodzinnego kraju męża przyjechała z Francji sama pani Chagall.

KRONIKA KULTURALNA

Z REGIONU...

■ Z rozpoczęciem nowego roku szkolnego placówki kulturalne w całym województwie śluskim rozpoczęły swoją działalność. W wielu jak: w MDK, SDK „Emka” powstały nowe sekcje i koła zainteresowań. Domy kultury prowadzą też naukę języków obcych, które cieszą się ogromnym powodzeniem. Na każdym kursie jest nadkomplet słuchaczy.

■ Od 17 do 20 września br. w Słupsku odbywały się Słupskie Dni „Sportu”. Odbyły się spotkania ze znanymi w świecie sportowcami, trenerami. M. in. gościli w grodzie nad Słupią — Władysław Komar, Gerard Cieślak, Jan Mulak, Wojciech Łazarek. Spotkali się z młodzieżą szkół średnich oraz śluskimi sportowcami. Otwarcie XIII SDS odbyło się na stadionie przy ul. Madalińskiego zawodami sportowymi. Na zakończenie zaś — w Krępie — swoje 40-lecie istnienia obchodził Areoklub Słupski.

■ W Prenzlau odbyła się z kolei trzecia wystawa rzemiosła artystycznego, na której swoje prace wystawiali rzemieślnicy z Koszalina i ze Słupska, m. in. wyroby ze srebra i bursztynu, kowalstwo artystyczne, tkactwo, rzeźby w drewnie, szlifowane kryształy. Pokaz dzieł artystów — rzemieślników odbywał się w dniach uroczystych obchodów utworzenia NRD.

■ Na otwarcie nowego sezonu artystycznego Słupski Teatr Dramatyczny wystawił sztukę współczesną Jacka Janczerskiego „Umrzeć ze śmiechu” — tragikomedie rozpisaną na dwie role, które zagrały Kaja Kijowska i Elżbieta Petrykat. Sztukę reżyserował dyrektor artystyczny teatru, Ryszard Jaśniewicz, który również przygotował scenografię. Muzykę zaś napisał Jan Mądrozkiwicz.

■ 14 października — jest Dniem Edukacji Narodowej. Z tej okazji z grupą wyróżniających się nauczycieli, pracowników oświaty odbyło się spotkanie w KW PZPR. W spotkaniu uczestniczyli: I sekretarz KW PZPR Zygmunt Czarzasty, prezes WK ZSL Stanisław Januchta, przewodniczący WK SD Jerzy Mazurkiewicz, przew. RW PRON prof. Andrzej Czarnik, wicewojewoda śluskim Kazimierz Ślusarski. Podczas spotkania wręczono odznaczenia państwowe i

resortowe. Np. akt nadania tytułu honorowego Zasłużony Nauczyciel PRL otrzymała emerytowana nauczycielka Zespołu Szkół Mechanicznych w Lęborku — Janina Klemn. W całym woj. śluskim Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski otrzymało 54 wybijających się pedagogów.

■ W związku z przypadającą w listopadzie 10. rocznicą Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej Dom Kultury Kolejarza ogłosił w październiku konkurs na plakat tematycznie związany z Krajem Rad. Ogłoszenie zwycięzców konkursu nastąpi w listopadzie br., najlepsze zostaną nagrodzone i wystawione w sali imprez Domu Kultury Kolejarza przy ul. Kollataja 32a.

■ W Teatrze Lalki „Tęcza” odbyła się premiera sztuki radzieckich twórców: „Alieneczką i żołnierz” na podstawie bajki Iriny Kiczanowej i Władimira Lifszycza w przekładzie Urszuli Pogwizd i Bronisława Szkaradnika. Reżyserem przedstawienia jest Władimir Biriukow z teatru lalkowego w Bracku, z którym śluskim teatrem nawiązał przed rokiem współpracę. „Alieneczką i żołnierz” — ma ludowy rodowód. A jak potoczą się losy bohaterów przedstawienia młodzi ślupszczanie mają okazję zobaczyć na scenie teatru przy ul. Waryńskiego w każdą niedzielę przed południem i codziennie po południu.

■ W Bałtyckiej Galerii Sztuki w Uście odbyło się niedawno otwarcie trzeciej wystawy. Tym razem swoje prace prezentują tu przebywający w Uście na plenerze artyści seniorzy i uczestniczący w tkackich warsztatach plastycznych, które odbywały się w październiku br. Czternastu uczestników pleneru wystawia w Galerii swoje prace olejne, rysunki i grafiki.

Z kogutem na Andrzejki

Wieczór andrzejkowy (wszak to już listopad), wypełniany wróżbami dla serca, jest doskonałą okazją do wysunięcia propozycji, aby bohaterkami i bohaterami organizowanych — odtąd już każdego roku — andrzejek, były również Katarzyny (solenizantki 25 bm.), by połączyć tę tradycyjną zabawę w jedną, wspólną. Co za tym przemawia? Niewątpliwie tradycja. Otóż należy tutaj przypomnieć, że bardzo dawno temu, wieczorem wróżb dla chłopców była właśnie wigilia imienin Katarzyny. Jednak z upływem lat „katarzynki”, czyli wieczory wróżb kawalerskich, zostały całkowicie zaniechane. Spinając zatem kłamrą zamierzchną tradycję ze zwyczajami zachowanymi i kulturowanymi do dnia dzisiejszego — radzę wybrać się na andrzejki koniecznie z Kasią, by sobie przyszłość wywróżyc. Może nawet wspólną?...

Wróżenie w wigilię imienin Andrzeja, jak wspominają kronikarze oraz znawcy folkloru, sięga dalekiej przeszłości. Zwyczaj ten znalazł także swe odbicie w licznych utworach literackich, i chociaż, w zależności od regionu nosił nierzadko odmienny charakter, to wszędzie sprawdził się do spraw sercowych, a nawet matrymonialnych. Wydaje się jednakże, iż współcześnie organizowane andrzejki powinny zawierać w sobie elementy nie tylko przekazane przez tradycję, lecz przede wszystkim uwzględniać ducha współczesności. Powinny mieć charakter wieczoru, w czasie którego przewija się wątek wieży, przyjaźni, bliskości serc, rodzących się uczuć i sympatii.

A jednak — bez względu na nowe pomysły czy innowacje — największym „gwoździem” andrzejkowego spotkania było zawsze i nadal jest wróżenie z roztopionego wosku, wylanego na wodę. W jego zastygniętym kształcie dziewczęta dopatrują się sylwetki przyszłego towarzysza życia, szukają spełnienia marzeń i oczekiwań. Migotliwy blask zapalonych świec wyczaruje atmosferę tajemniczości, potęgowaną jeszcze w dwójnasób, jeśli lanie wosku odbywa się przez ucho du-

żego klucza, przez srebrny pierścionek, kolisty kołczyk, przez gałązkę mirtu, bądź też przy użyciu innych, mających moc „magiczną”, akcesoriów.

Zwyczaj ów utrwalił m. in. pisarz Władysław Sabowski (1837—38) w takiej formie:

„Ową przyszłość dziś bez wielkich

mozołów
Wskazać może wosk stopiony lub ołów,
Gdy swobodną kroplą w wodę upadnie.
Rzecz ciekawa, co tam się z niego złoży,
Pewno młodzian urodziwy a hoży!”...

O spełnieniu marzeń i życzeń zadecydować może los za sprawą parzystej lub nieparzystej liczby ziaren zboża. Oskar Kolberg zapisał w swych dziełach taki, wśród wielu innych, zwyczaj andrzejkowych wróżb dziewczęcych: „Ziarna sypią na podłogę, w środek puszczają koguta. Czyją kupkę najpierw jeść zaczną, lub u której dziewczyny parzysta liczba pszenicy zostanie, tej wróżba szczęśliwa”.

Gdyby „zaproszenie” koguta do spełnienia wróżb było trudne, można to załatwić w następujący sposób: kto chce sobie powróżyc, nabiera czubatą łyżkę ziaren, a potem je odlicza. Jeśli zdarzy się liczba parzysta — spełnią się jego marzenia jeszcze w następnym roku, jeśli zaś nieparzysta — na spełnienie marzeń trzeba będzie poczekać do kolejnych andrzejek.

Na zakończenie mam propozycję milej pamiątki wieczoru, zwanej „pamiątką serdeczną”. Są to przygotowane zawczasu, podobne do kotyliionów, sporej wielkości serduszka wycięte z brystolu, pomalowane z jednej strony czerwoną farbą plakatową i przybrane różnokolorowymi wstążeczkami. Wręcza się je każdemu uczestnikowi zabawy na powitanie. Pod koniec andrzejkowych wróżb, dziewczęta odpinają serduszka od bluzek, a chłopcy od marynarek i wzajemnie składają na nich swoje podpisy, oczywiście na niepomalowanej stronie. Na pamiątkę razem spędzonego wieczoru andrzejkowego, pełnego tajemniczych zakleć i wróżb. Wróżb dla zaspokojenia pragnień i tęsknot serca.

J. R. BUKSZOWANY

W LISTOPADZIE ZAPRASZAJA

MUZEUM POMORZA ŚRODKOWEGO
Słupsk, ul. Dominikańska, tel. 240-81

- Sztuka dawna Pomorza Środkowego XIV—VIII wieku
- Skarby Książąt Pomorskich
- Portrety i rysunki S. I. Witkiewicza
- Malarstwo Lecha Okołowa

Młyn Zamkowy

- Kultura i sztuka ludowa Pomorza

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH

Słupsk, ul. P. Findera 3, tel. 256-74
Salon Wystawowy w Baszcie Czarownic
ul. Fr. Nullo 13, tel. 262-46

- Malarstwo i rzeźba J. Stroińskiego z Uski

Baltycka Galeria Sztuki w Uście

- Malarstwo Ryszarda Patzera

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI

Słupsk, pl. Armii Czerwonej 6, tel. 266-07

- Wystawa poplenerowa „Zapis graficzny w skórze — Krzyżnia '87”

PANSTWOWY TEATR LALKI „TĘCZA”
Słupsk, ul. Waryńskiego, tel. 239-35

- „Alinezka i żołnierz” — I. Kiczanowej i W. Lifszycy w przekładzie Urszuli Pogwizd i Br. Szkaradnika, reż. Władimir Biriukow

SŁUPSKI TEATR DRAMATYCZNY

Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 238-39

- „Sługa dwóch panów” — Carlo Goldoni, reż. Andrzej Józef Dąbrowski, scen. Andrzej Markiewicz, muzyka — Tomasz Kiesewetter, choreogr. Jerzy Stępnik
- „Umrzeć ze śmiechu” — Jacka Janczerzkiego, reż. i scenogr. Ryszard Jaśniewicz, muzyka — Jan Mądrośzkiewicz
- „Ławeczka” — Gelmana (na malej scenie) w reż. Marka Okopińskiego

SŁUPSKA ORKIESTRA KAMERALNA

Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 263-38

- piątkowe koncerty symfoniczne

uznany, wzorowy. BUK
przedach wiose; 14) twórc
zo; 13) grecki okręt o trzech
pływ Warty; 12) lane zela-
„z rekawa”; 11) lewy do-
rena”; 9) sypie dowcipami
ska (występy w teatrze „SY-
pularna aktorka warszaw-
kres rozwoju; 8) bardzo po-
wśród muzynianów; 5) o-
wodna, rozpowoszechmiona
zakopiańskiego; 4) fajka
larz i pisarz, twórcy stylu
lania; 3) kitytyk sztuki, ma
szczepa służąca do oświe-
PIONOM: — 2) smolina

pedzel.
między z Celulozy”; 19) niby
dzie orne; 18) autor „Pa-
swojsko; 17) dawne narze-
Prusa; 16) formir — bardziej
15) tytuł powieści Bolesława
kula bilardowa; 11) korzyść;
sumski; 7) chod zegara; 10)
Ukrainskiej SRR (obwód
na sportowa; 6) miasto w-
na dyscypli-

DUET KRZYŻÓWKOWY



Z koguter na Andrze

Wieczór andrzejkowy (wszak to ju stopad), wypełniany wróżbami dla s jest doskonałą okazją do wysunięcia pozycji, aby bohaterkami i bohaterami organizowanych — odtąd już każ roku — andrzejek, były również K rzyny (solenizantki 25 bm.), by połą tę tradycyjną zabawę w jedną, wsp Co za tym przemawia? Niewątpliwie dycja. Otóż należy tutaj przypomnieć bardzo dawno temu, wieczorem w dla chłopców była właśnie wigilia i nin Katarzyny. Jednak z upływem „katarzynki”, czyli wieczory wróżb karskich, zostały całkowicie zaniech Spinając zatem kłamrą zamierzając dycję ze zwyczajami zachowanymi i tywowanymi do dnia dzisiejszego — dze wybrać się na andrzejki konieczn Kasią, by sobie przyszłość wywro Może nawet wspólną?...

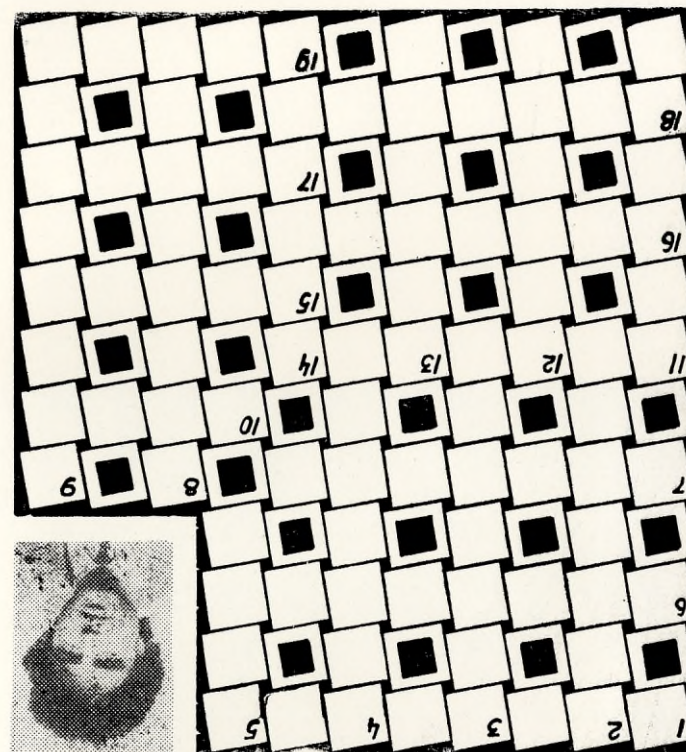
Wróżenie w wigilię imienin Andr jak wspominają kronikarze oraz zna folkloru, sięga dalekiej przeszłości. Z czaj ten znalazł także swe odbicie w nych utworach literackich, i chociaż zależności od regionu nosił nierzadko mienny charakter, to wszędzie spr dzał się do spraw sercowych, a na matrymonialnych. Wydaje się jedna iż współcześnie organizowane andrze powinny zawierać w sobie elementy tylko przekazane przez tradycję, przede wszystkim uwzględniać do współczesności. Powinny mieć chara wieczoru, w czasie którego przewija wątek wieży, przyjaźni, bliskości serc, dzących się uczuć i sympatii.

A jednak — bez względu na nowe myśli czy innowacje — najwięks „gwoździem” andrzejkowego spotk było zawsze i nadal jest wróżenie z topionego wosku, wylanego na wodę jego zastygniętym kształcie dziewcz dopatrują się sylwetki przyszłego to rzysha życia, szukają spełnienia marz oczekiwań. Migotliwy blask zapalor świec wyczaruje atmosferę tajemnicz potęgowaną jeszcze w dwójnasób, lanie wosku odbywa się przez ucho

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 10:

I. **Poziomo:** — Marchoff, Łazienki, Minerva, jazz, tarabai, rzeka, mleczko, szafa, zielnik, Apacz. **Pionowo:** — alanina, chimera, oknówka, trio, Kalewala, działacz, Tamiza, rwetes, brzana, troska.

II. **Poziomo:** — skrzypek, mienie, dżerzej, Hera, ścięgno, Raksa, interes, Zosia, rotunda, kwacz. **Pionowo:** — księżyc, zwierze, Panteon, kres, perkusja, kawalarz, świerk, istota, Gerdno, owszak.



PIONOWO: — 2) smolina szczapa służąca do oświetlania; 3) krytyk sztuki, malarz i pisarz, twórca stylu zakopiańskiego; 4) fajka wodna, rozpoznała wśród muzyków; 5) o-kres rozwoju; 8) bardzo popularna aktorka warszawska (występy w teatrze „Syrena”); 9) sypie dowcipami „z rękawa”; 11) lewy do-tyw Warty; 12) Jane zela-za; 13) grecki okręt o trzech rzędach wiosel; 14) twórca uznany, wzorowy. BUK

POZIOMO: — 1) dyscypli-na sportowa; 6) miasto w Ukrainie; 7) chód zegara; 10) sumski; 11) korzyść; 12) kula biardowa; 13) tytuł powieści Bolesława Prusa; 16) form — barzejswojsko; 17) dawne narzę-dzie orne; 18) autor „Pa-miętki z Celulozy”; 19) niby-pędzel.

DUET KRZYŻÓWKOWY

DUET KRZYŻÓWKOWY

POZIOMO: — 1) magiczna formułka; 6) rzeka na Pojezierzu Mazurskim; 7) ostrze-żliwanie; 10) przedstawia się w żurnale; 11) pastuch; 15) wyspy koralowe w kształcie pierścienia; 16) występowa-nie nie tylko u ludzi cech właściwych dalekim przodkom; 17) półlegendarny grecki poeta i lutnista z wy-spy Lesbos; 18) parowiec, który zatonił 14 kwietnia 1912 r.; 19) marynarskie łó-żko.

PIONOWO: — 2) zbrojna napaść jednego państwa na drugie; 3) pisarz; 4) gwiaz-dozbiór nieba południowego; 5) gaz palny; 8) polski zw.ót w języku obcym; 9) rze-mieślnik wyrabiający galanterię skórzaną; 11) ban-kructwo, zwłaszcza umyśl-ne; 12) stolica Lakonii; 13) miasto w Turcji; 14) aten-tat. BUK

